NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA **KRAKÓW,** ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok IV. Kraków, 3 sierpnia 1907. Nr. 31.

Zbrodnia cyganów.

(Treść na stronie 2)



Zbrodnia cyganów.

(Do illustracyi tytułowej).

Cyganie, to plemię na wpół dzikie, koczownicze, żyjące z kradzieży i żebraniny, a rzadko i wyjątkowo z uczciwej pracy, są często plagą krajów, w których pojawią się w większej ilości. Uprzywilejowane są pod tym względem Węgry, gdzie bandy cygańskie szczególnie chętnie przebywają. Rząd węgierski, acz niechętnie, toleruje ich u siebie,



Szpieg czy oszust? Władysław hr. Zieliński, vel Kryłow, vel Kotlarewicz.

zwłaszcza o ile oni uznają nad sobą jego władzę i przyjmują poddaństwo węgierskie. Zaszedł jednak w ubiegłym tygodniu wypadek, który może wpłynąć decydująco na losy band cygańskich w obrębie królestwa węgierskiego.

Oto pewna banda cygańska, znajdująca się już w ręku władz bezpieczeństwa, popełniła straszne morderstwo rabunkowe. Cyganie-mordercy przybyli jako goście do pewnej oberży na puszcie Danos, a kiedy zapadł wieczór, rzucili się na właściciela gospody, Stefana Sarvasa. Ten próbował ratować się ucieczką i schronił się do sypialni, gdzie znajdowała się jego żona, oraz przybrana córka. Przy ich pomocy zabarykadował drzwi meblami. Rozszalała banda cygańska wywaliła jednak siłą drzwi i wpadła do wnętrza, poczem wymordowała bezbronych w okrutny sposób. Ofiarą rabusiów padł również woźnica oberżysty, Tabanyi, który pospieszył swemu panu z ratunkiem.

Dokonawszy okropnego mordu, cyganie zrabowali całe mieszkanie ofiar, zabrali gotówkę, klejnoty i mnóstwo innych przedmiotów. A że oberżysta był człowiekiem wcale zamożnym, łup złoczyńców był bardzo obfitym.

Obładowani zrabowanemi rzeczami udali się cyganie do stajni, zabrali konie, zaprzęgli je do wozów, stojących w pobliżu gospody i podpaliwszy zabudowanie zbiegli.

W chwili kiedy ogień wybuchnął, nadjechał w tę okolicę zarządca pobliskich dóbr. Spostrzegłszy pożar, pospieszył w otoczeniu służby z ratunkiem. Kiedy mimo kilkakrotnych wezwań nikt drzwi nie otwierał, służba rozbiła je przemocą i w ten sposób dostała się do wnętrza. Tam znaleziono cztery trupy, pokryte strasznemi ranami. Pożar udało się ugasić, życia jednak nieszczęsnym nic już przywrócić nie potrafiło.

Zawiadomiona o wypadku żandarmerya rozpoczęła gorączkowe śledztwo, które wykazało, iż strasznego czynu dopuścić się mogła tylko banda cyganów, którą widziano w krytycznym czasie w okolicy. Dalsze dochodzenia potwierdziły to przypuszczenie, wobec czego całą bandę uwięziono.

Rycina na stronie tytułowej przedstawia chwilę, gdy cyganie mordują oberżystę i jego rodzinę.

Szpieg czy oszust?

Dawno już nie miał Lwów w sezonie ogórkowym sprawy, któraby wywołała tyle hałasu, tyle rozmaitych, często ze sobą sprzecznych opinij — ile ich wywołała ostatnia „sensacyjna“ afera szpiegowska. Bodaj jednak, czy nie właśnie sezon ogórkowy stał się jedynym powodem, że sprawa ta nabrała takiego rozgłosu, niemal międzynarodowego. Jak bowiem wynika z ostatnich wiadomości nadchodzących ze Lwowa, zachodzi tu prawdopodobnie najzwyczajniejsze oszustwo — nie zaś szpiegostwo.

Faktem jest to, że policya lwowska uwięziła w ubiegłym tygodniu, jako skompromitowanych: Władysława hr. Zielińskiego, używającego oprócz tego fałszywego nazwiska także innych, jak Kryłow i Kotlarewicz, indywiduum karane już kryminalnie za usiłowane wymuszenie na osobie Artura hr. Russockiego, dalej przemytnika z Brodów Bycha, żydka Samuela Rappaporta i wreszcie młodego człowieka, podejrzanej konduity, Walentego Wasilewicza Awdijewa.

Specyalnością „hrabiego“ Zielińskiego było naciąganie władz, z czego uczynił sobie poprostu sport. Rozpoczął na Węgrzech. Uciekłszy mianowicie po odsiedzeniu kary więzienia za szantaż z aresztów miejskich we Lwowie, przy pomocy litościwej żony klucznika, p. Gębarskiej, udał się do Budapesztu. W owym czasie — było to przed paru miesiącami — bawił tam cesarz austryacki, biorąc udział w uroczystościach jubileuszowych. Nagle — z niewyjaśnionych należycie powodów, cesarz opuścił Budapeszt i powrócił do Wiednia. Tłómaczono



Szpieg czy oszust? Walenty Wasilewicz Awdijew.

sobie ten fakt w najrozmaitszy sposób, w rzeczywistości jednak odjazd ten nastąpił z powodu pogłosek, iż anarchiści zamierzają wykonać zamach na cesarza. Ostrzeżenie tego rodzaju przyniósł policyi budapeszteńskiej „hrabia“ Zieliński. Policya wzięła na seryo doniesienie „hrabiego“, który miał być w bliskich stosunkach z anarchistami i wpłynęła na sfery dworskie w tym kierunku, iż cesarz opuścił Węgry. Wnet potem policya budapeszteńska spostrzegła się, aresztowano nawet „hrabiego“, ten jednak zdołał umknąć i wrócił do Galicyi.

Tu urządził znowu sprytny kawał, ale w innym rodzaju. Oto zjawił się w Brodach, w ekspozyturze policyi i naczelnikowi jej przedstawił się jako Kryłow, oficer rosyjski, który mógłby pomódz rządowi austryackiemu za odpowiedniem wynagrodzeniem wykryć szajkę szpiegów, donoszących Rosyi szczegóły z dziedziny mobilizacyi austryackiej. Komisarz w Brodach interes z Kryłowem załatwił, a celem ułatwienia mu pracy dostarczył pewnego ajenta lwowskiego. W jego towarzystwie Kryłow przebywał w Brodach przez kilka dni, zapowiadając z dnia na dzień przybycie rzekomych szpiegów. Kiedy ów ajent jednak stał się coraz mniej dowierzającym, Kryłow w sprytny sposób ulotnił się z Brodów i ślad po nim zaginął.

Policya jednak nie przestawała go śledzić. I oto w ubiegłym tygodniu udało się jej wpaść na ślad korespondencyi prywatnej Kryłowa, skąd dowiedziano się, że przebywa on od trzech miesięcy w Nowym Zagórzu, jako robotnik. Wysłany ze Lwowa ajent aresztował go i odstawił do lwowskiego więzienia. Tam też okazało się, że jest to ten sam ptaszek, którego policya znała jako „hrabiego“ Zielińskiego.

W dalszym ciągu uwięziono trzy osoby, które stały w bliskich stosunkach z rzekomym Kryłowem. Są to wspomniani wyżej Bych, Rappaport i Awdijew. Tego ostatniego uwięziono na dworcu we Lwowie, ponieważ dopytywał się właśnie o Kryłowa; miał podobno do niego jakiś pilny i ważny interes. A że nie mógł się należycie wylegitymować przed władzą, przeto go przymknięto.

Jakkolwiek z pewnych stron traktują całą tę sprawę jako aferę szpiegowską, to jednak tego rodzaju podkład jest tu bardzo wątpliwy. Pra-



Nowy sposób leczenia: Prostowanie kręgosłupa za pomocą pełzania.

wdopodobniejszem jest przypuszczenie, iż Kryłow-Kotlarewicz-Zieliński jest zwykłym oszustem, który próbował za pomocą zmyślonych doniesień żyć na koszt rządu i pod jego opieką, a przy tej sposobności naciągał i osoby prywatne na rozmaite kwoty.



Minister defraudantem: Senator Tankredo Canonico.

Minister defraudantem.

Sprawa ministra Nasi'ego wstąpiła w nowy okres. Jak pisaliśmy w jednym z poprzednich numerów, b. minister Nasi, oskarżony o zbyt dowolne zanurzanie ręki w funduszach państwowych, umknął za granicę, by uniknąć aresztowania, na nowo jednak wybrany posłem w swem rodzinnem mieście, powrócił do Rzymu. Licząc na swą popularność, zjawił się w parlamencie i wygłosił mowę, w której poddawał się sądom. Główną nadzieję pokładał w walce, jaką wydała w obronie jego Sycylia sądom włoskim, a walka ta nie jest wcale drobnostką. W państwach na zachodzie Europy, południowe prowincye przedstawiają zawsze charakter rewolucyjny, najpochopniejszy do wszelkich rozruchów. Niedawno mieliśmy tego przykład we Francyi, gdzie na południu podnieśli groźne rozruchy właściciele winnic, którym wtórowała chętnie cała ludność. Istniejące nawet specyalne określenie „południe się rusza“, oznacza zawsze jakieś zawichrzenia, niebezpieczne dla rządu. Tak samo się dzieje i na Sycylii, której ludność zachowała odrębne swe, a dość dzikie jeszcze zwyczaje. Zabójstwo przeciwnika nie jest tam uważane za przestępstwo, jak o tem świadczy jeden z ostatnich wypadków, gdzie pewien wieśniak oskarżony o zabicie swego sąsiada, gdy mu odczytano wyrok, skazujący go na ciężkie więzienie, wpadł w taki szał, iż sędziom groziło niebezpieczeństwo życia. Nic dziwnego też, iż sycylijska ludność, czująca niejedną urazę do sądów włoskich, pochopnie chwyciła się najnowszej okazyi i wystąpiła w obronie swego przedstawiciela. Pomimo to Nasi'ego, jak również i szefa jego gabinetu Lombardo, aresztowano, niestety jednak pod naporem manifestacyi sycylijskich, rząd musiał niejako skapitulować, i chociaż nie uwolniono zupełnie aresztowanych, jednak puszczono z więzienia, a oddano tylko pod areszt domowy, chorego zaś Lombardo odwieziono do kliniki, dopóki nie zbierze się sąd, który ma w tej sprawie wydać wyrok. Sycylia więc na razie wygrała, znajdzie jednak w tej sprawie nieubłaganego przeciwnika w osobie Tankreda Canonico, prezydenta senatu, który ma tę sprawę rozstrzygać.

W całych Włoszech niema człowieka, któryby się cieszył tak niepokalaną sławą, jak właśnie ów prezydent senatu, jeden z najwyższych dostojników państwowych. Szlachetnością i czystością charakteru stanowi tylko wzór do naśladowania, sprawa więc Nasi'ego, którego ma sądzić, będzie zapewne załatwioną sprawiedliwie.

My tą dobrą sławą szlachetnego Włocha mamy wszelkie powody się szczycić, bo jest on uczniem Polaka, nauce którego pozostał wiernym przez życie całe. Mistrz Andrzej Towiański, który tak wielki wpływ wywarł na Mickiewicza, znalazł i w młodziutkim wówczas Tankredzie Canonico, gorącego zwolennika głoszonych przez siebie zasad. Te ziarna miłości bliźniego i czynienia drugim dobrze, jakie zasiał Towiański w młodzieńczej duszy, wydały bujny plon, kiedy Canonico dla jego szlachetności otaczają przez życie całe taką czcią. Tankredo Canonico, jakby wywdzięczając się swemu mistrzowi, nie tylko żył według jego wskazówek, ale też i spisał je, wydając kilka bardzo cennych prac, oświetlających postać Towiańskiego.

Załączamy też ostatnią fotografię Canonico, którego postaci nie spotkaliśmy dotąd w żadnem polskiem czasopiśmie.

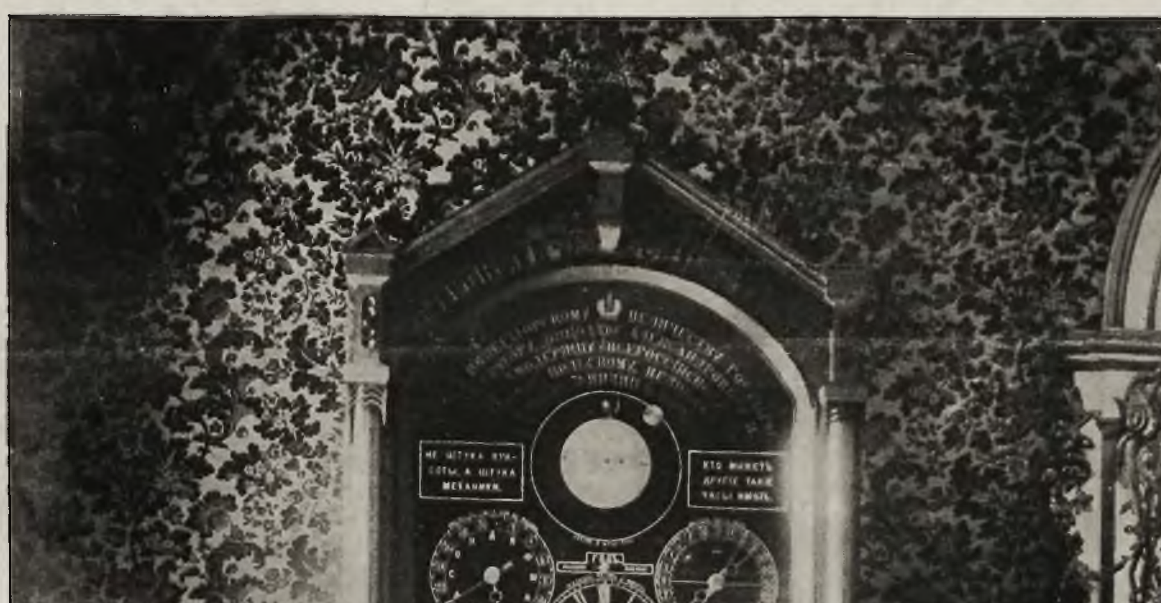
Nowy sposób leczenia.

Gimnastyka, którą do niedawna uważaliśmy li tylko za przyjemność, w ostatnich czasach zdobywa sobie co raz większe znaczenie jako środek leczniczy i w tem medycznem zastosowaniu nosi nazwę ortopedyi. Skutki przez nią osiągane są nadzwyczaj ważne i dodatnie, zwłaszcza w młodzieńczym wieku, kiedy najrozmaitsze krzywizny korpusu nie miały czasu jeszcze zgrubieć. A dziecko uczęszczające do szkół, tak często narażone jest na wykrzywienie swego korpusu. Napozór taka drobnostka, jak paczka książek w rzemykach, z którą zawsze widzimy biegnącą do szkół dziatwę, sprowadza na nasze małe pokolenie przegięcie całego ciała na jedną stronę, co przez częstsze powtarzanie staje się chronicznem. Do tego zboczenia prowadzi i wadliwe siedzenie w szkole, gdy dziecko pisząc, jedną rękę trzyma na ławce, a drugą opuszcza ku ziemi, całe więc ciało jest wtedy skrzywione, przyczem i klatka piersiowa nie może pracować prawidłowo. Nic dziwnego, że po kilku latach postać młodego chłopca jest pokrzywioną zupełnie, jedno ramię wyższe, drugie niższe, przez co i ręka jedna dłuższa, druga krótsza. I oto ortopedya przez najprostsze ćwiczenia, zastosowane do danego zboczenia, przyprowadza korpus cały do należytego, zdrowego położenia.

Nowy środek ortopedyczny wynalazł profesor Klapp i zastosował w Berlinie, w królewskiej klinice. Jak widzimy na załączonej rycinie, cała ta nowa metoda jest nadzwyczaj prosta, bo polega na chodzeniu na czworakach z głową podniesioną do góry. Prof. Klapp stosuje to do skrzywienia krzyża, do lekkiego zgarbienia, wskutek którego postać cała bywa pochyloną naprzód, to zaś pełzające ćwiczenie ma właśnie za zadanie wygięcie całego grzbietu w przeciwną stronę, by przez to doszedł do normalnego swego położenia.

Ortopedyę jednak można stosować nie tylko u dzieci, lecz także i u osób zupełnie dorosłych, które wskutek jakiejś choroby, naprzykład zapalenia i zmiękczenia kości i stawów, paraliżu mięśni, albo ich skurczu nabyły zboczenia w kształcie ciała. Ortopedya i w tych wypadkach usuwa te niedokładności, przez najprostsze ręczne manipulacye, przez wykonywanie ruchów odpowiednimi mięśniami, lub też używa do tego przyrządów, lecz prostych, podobnych do narzędzi gimnastycznych.

Na skuteczność tej metody wskazują liczne za granicą zakłady ortopedyczne, które pomału zaczęto zaprowadzać i u nas. Im więcej będziemy ich posiadali, tem młodzież nasza będzie przedstawiała zdrowszy typ młodego człowieka, który dzisiaj wykrzywiony, nie bardzo piękny przedstawia widok.



Fot. A. Drankow, Petersburg.

Ciekawy zegar: Kalendarz-zegar, wykonany przez samouka Karasia.

Ciekawy zegar.

Przykład nadludzkiej niemal cierpliwości dał włościanin z radomskiej gubernii, Franciszek Karaś. Człowiek ten, który wychował się w maleń-



Tajemniczy skon oficera: Kapitan Karol Rożiczka.

kiej, ubogiej wiosce, czuł od dziecinnych lat szczególny pociąg do robót z zakresu mechaniki. Największą dla niego było przyjemnością, gdy mógł po ciężkiej pracy na roli zająć się rozkładaniem i składaniem najrozmaitszych przyrządów, kółek, maszyn itd. Zwłaszcza zegary i ich mechanizm interesowały młodego a wytrwałego samouka. Ciągłą też pracą w tym zakresie doprowadził on nietylko do dokładnej znajomości budowy zegarów, ale do samodzielnych pomysłów w zakresie zegarmistrzowstwa.

Obmyślił on mianowicie przyrząd, który miał być kombinacyą kalendarza i zegara. I po dwudziestu przeszło latach wytężającej pracy, pomysł swój wykonał. Ile on w wykonanie to włożył zaparcia się siebie, ile wytrwałej, prawdziwie chłopskiej cierpliwości, zrozumieć można dopiero na widok tego niezwykłego przyrządu.

Zegar-kalendarz Karasia wskazuje mianowicie dokładnie nietylko godziny, ale i dni, tygodnie i miesiące, dalej podaje długość dni i nocy, wschód i zachód słońca, lata zwykłe i przestępne, fazy księżyca i ruch ziemi naokoło słońca. Tarcza znajduje się na szklanej płycie wysokości 1 mtr. a szerokiej na 60 cm. Mechanizm zegara jest sporządzony z kawałka miedzi. Chód zegara jest zupełnie niesłyszalny. Cały przyrząd mieści się w wielkiej skrzyni, mierzącej około $1\frac{1}{2}$ metra. Nakręca się go tylko raz na 400 dni.

Owoc wieloletniej pracy ofiarował Franciszek Karaś cesarzowi rosyjskiemu, wypisując powyżej tarczy odpowiednią dedykacyę. W tym celu udał się ze swym uczniem Józefem Monkosiem do Peterhofu i z wielką radością i zadowoleniem zegar ten wręczył monarsze.

* * *

Zdjęcie fotograficzne, przedstawiające niezwykły ten zegar, a obok niego Karasia i jego ucznia, zamieszczamy w dzisiejszym numerze.

Niezwykła odyssea cygańska.

Sporo kłopotu narobiła w ostanich dniach pewna banda cygańska rządom Francyi, Szwajcaryi i Niemiec. Wymieniano między temi państwami depesze i noty, jakgdyby chodziło o kwestyę zasadniczej wagi. W rzeczywistości zaś rzecz to była niezmiernie błaha.

Oto przed paru tygodniami pojawiła się w Szwajcaryi, w kantonie Neuchatel, banda cyganów-włóczęgów, złożona z kilkudziesięciu osób. Żandarmerya szwajcarska chciała się pozbyć w jakikolwiek sposób brudnych, obszarpanych gości i wyparła ich ku granicy austryackiej. Ale i Austrya nie jest na tyle gościnną, by miała dobrowolnie podejmować w swoich granicach czeredę obszarpańców, więc żandarmi austryaccy nie wpuścili ich przez granicę. Wówczas cyganie posunęli się w górę brzegu Renu i tu przepędzani przez żandarmeryę szwajcarską z jednego kantonu do drugiego — przez St. Gallen, Szafuzę dostali się do Bazylei; władze tamtejsze wyszupasowały przybyszów do kantonu solurskiego. Stąd wydalono ich do kantonu berneńskiego, a następnie do fryburskiego; z fryburskiego przedostali się do Vaud; skierowawszy się przez Palésieux, stanął tabor na pograniczu berneńsko-fryburskim. Na miejsce zbiegła się żandarmerya z kantonów Vaud, berneńskiego i fryburskiego i przez 5 dni żelaznym pierścieniem otaczała biednych cyganów, niepozwalając im się ruszyć w żadnym kierunku. Wreszcie współzawodniczący w strzeżeniu granic swych kantonów żandarmi porzucili rywalizacyę i po cichu przeszwarcowali cyganów do kantonu Vallis; stąd wyparto ich ku granicy francuskiej.



Niezwykła odyssea cygańska: 93 letnia Varia Rheinbach, matka naczelnika bandy cyganów.

Pobyt bandy cygańskiej na ziemi francuskiej trwał jednak bardzo krótko. Prefekt bowiem Górnej Sabaudyi, dowiedziawszy się o ich przybyciu, nakazał organom podwładnym wyekspedyować ich z powrotem do Szwajcaryi. Zapędzono ich w ten sposób do szwajcarskiego Moelesulaz. I tu omal nie przyszło do konfliktu między żandarmeryami dwu sąsiednich państw. Szwajcarscy bowiem żandarmi chcieli cyganów zmusić do przejścia napowrót granicy francuskiej, a ustąpili dopiero na widok przeważającej ilości żandarmów francuskich, opierających się temu, a dobrze uzbrojonych. Obecnie czekają cyganie w Moelesulaz, otoczeni kordonem żandarmów, na rozstrzygnięcie swych losów.

Rząd niemiecki został w całą tę odysseę cygańską również wmięszany, ponieważ naczelnik bandy wykazał się papierami, dowodzącymi, że ma poddaństwo niemieckie i nazywa się Fryderyk Rheinbach. Całej bandy jednak nie można wyprawić do Niemiec, ponieważ inni jej członkowie nie mogą niczem wykazać swej przynależności czy to do Niemiec, czy też do innego państwa.

Jest to wogóle na porządku dziennym, iż tylko naczelnicy band mają papiery, stwierdzające ich pochodzenie i przynależność, reszta zaś powołuje się na swego zwierzchnika. Z tego powodu władze austryackie wydały cały szereg przepisów, utrudniających bandom cygańskim, niezaopatrzonym w należyte dokumenty, wałęsanie się w obręcie granic monarchii.

Załączone fotografie przedstawiają cały obóz cygański pod opieką policyi francuskiej i szwajcarskiej i podobiznę 93-letniej cyganki, matki naczelnika bandy.



Niezwykła odyssea cygańska: Część taboru cygańskiego na granicy francusko-szwajcarskiej, pod eskortą żandarmów.

Na wulkanie

Powieść ARTURA GRUSZECKIEGO
na tle ostatnich rozgłośnych wypadków w Królestwie Polskiem.

32 Ciąg dalszy.

Bal wyszedł i spojrzawszy w górę Mokotowskiej, dostrzegł znów przy kamienicy dwóch ajentów, idących krok za krokiem w kierunku Placu. Teraz był pewien, że Krasotin zdecydował się na Mokotowską, gdyż wysłał przed sobą pięciu ajentów. Wszedł do restauracyjki, kazał sobie podać kieliszek wódki i spytał gospodarza, która godzina?

— Trzydzieści pięć na ósmą.

— U mnie czterdzieści... a u pana? — zwrócił się Bal do rewirowego.

Jan wyjął zegarek i podchodząc do Bala:

— Nasze zegarki zgadzają się — i szepnął: — już?

— Różnica minuta... — odpowiedział Bal — zapłacił i wyszedł, spostrzegłszy tuż przy wyjściu obserwującego go ajenta.

Jan wstał również; wielką kopertę listową wyjął z teczki, obmacał sztylet schowany w teczkę, że tylko rękojeść zakryta lewą ręką sterczała — i skierował się na ulicę Mokotowską.

Niemal równocześnie wyszedł Krasotin ze swego mieszkania, rozejrzał się bacznie wokoło i równym, wojskowym krokiem ruszył Mokotowską w stronę placu św. Aleksandra.

Ajenci, widząc rewirowego, nie uważali za stosowne zatrzymywać go i Jan przeszedł szczęśliwie tę straż przednią.

Na pustej ulicy słychać było wyraźnie miarowe kroki żołnierskie, pułkownika i rewirowego...

Przestrzeń pomiędzy nimi zmniejszała się, dzieliło ich już tylko dwadzieścia kroków.

Jan podniósł głowę, szybko obrzucił wzrokiem Krasotina i wpił oczy w lewą stronę, obwieszoną orderami, widocznymi z pod mikołajewskiego płaszcza, narzuconego na ramiona.

Zdawało się Janowi, że pod stopami jego są kamienie rozpalone, że chcąc dojść do pułkownika, musi biedz, bo inaczej nogi przylgną do ziemi i nie zrobią ani kroku. Nagle poczuł zawrót głowy, przed oczami przesuwały się plamy czarne, kręgi białe i gwiazdki czerwone, które rosły i mnożyły się w nieskończoność.

Czuł nadchodzącego Krasotina, ale zarazem dziwny bezwład i szedł automatycznie, jak maszyna, puszczona w ruch.

Nagle posłyszał ostry, syczący głos tuż przed sobą:

— Hej! Ty!! Pastoj!

Oprzytomniał. Przed nim stał zły i chmurny Krasotin, mierząc go wzgardliwie oczyma za brak uszanowania.

W tej chwili Jan podniósł rękę w górę, złożył wojskowy ukłon i biorąc prawą ręką zaklejoną kopertę, podał pułkownikowi.

Ten spojrzał na adres, wziął kopertę, odrzucił poły płaszcza i rozdarłszy skraj koperty, wyjął złożony papier, aby odczytać.

W tej chwili Jan z teczki wyciągnął sztylet i silnem uderzeniem wbił go w lewy bok stojącego Krasotina, następnie złożył wojskowy ukłon i miarowym krokiem poszedł dalej ku narożnikowi ul. Pięknej, siadł w oczekującą dorożkę i pojechał.

Krasotin po uderzeniu zachwiał się i oparł się na razie o mur kamienicy i dopiero po upływie kilku minut, obsunął się na bruk.

Dwóch ajentów, będących o jakie dwadzieścia kroków, sądząc, że pułkownik zemdlał, podbiegło do niego i starali się go podnieść. Nagle ten z lewej strony, odwinąwszy płaszcz, krzyknął przeraźliwie i ręką wskazał na tkwiący sztylet i cienki sznurek sączącej się krwi. Drugi spojrzał i odstępując od leżącego, mruknął:

— Ubili...

Obydwaj zaczęli gwizdać na alarm.

Nadbiegli inni, a jeden z nich zajrzał do papieru, trzymanego konwulsyjnie ręką Krasotina — wzdrygnął się i szepnął:

— Wyrok partyi.

Na razie nikt nie szukał winowajcy, byli wszyscy ogłuszeni tą nagłą a cichą śmiercią.

W jakie pół godziny przyjechał komisarz cyrkułowy, karetka pogotowia, wreszcie nadeszło wojsko i rozpoczęła się rewizya we wszystkich sąsiednich domach.

Wprawdzie ajenci zeznali, że pułkownika Krasotina mógł zabić jedynie człowiek w mundurze rewirowego, lecz komisarz cyrkułu ze względu na honor munduru policyjnego zabronił rozgłoszenia; wszak i tak sprawca był nieznany i pozostał ukryty.

Gołubiew z wewnętrznym niepokojem czekał w swem mieszkaniu na obiecaną wizytę Krasotina.

Na razie postanowił ukryć przed nim stratę manuskryptu i własnoręcznie wygotował raport, wzorując się na projekcie zagubionym.

Minęła jednakże dziewiąta i dziesiąta godzina i przyszedł czas iść do biura.

Zaledwie wszedł do swej kancelaryi i ubrał się w mundur, gdy zameldował się jego podwładny urzędnik, przynosząc nadeszłe papiery.

— Połóż pan na stole... Czy jest co nowego?...

— W papierach i raportach nic tak dalece, ale w mieście...

— Cóż w mieście?

— Nie wiem, czy pan naczelnik słyszał, że dziś o pół do dziesiątej zamordowano pułkownika Krasotina.

— Co? Co? — zawołał pobladły Gołubiew — czyś pan oszalał?... Krasotin zabity?!

— Tak jest — westchnął podwładny.

— Ale jakim sposobem?... Naczelnik ochrany, on, który ma setki ajentów i szpiegów i zabity!? To naprawdę nie do wiary!... Czy go nie pilnowano?... A morderca?

— Uszedł, jak zwykle... Ajenci, którzy byli w pobliżu, zeznali, że jakiś rewirowy zbliżył się do pułkownika i sztyletem ugodził go w serce. A wszystko stało się tak cicho, tak nieznacznie, że dopiero po dobrej chwili zbliżyli się do leżącego. Myśleli, że zemdlał, a on był już trupem...

— To okropne — jęknął Gołubiew i drżącemi rękami wyjmował papierosa.

— Tak, panie naczelniku, nikt z nas nie jest pewien życia — westchnął podwładny — a oni stają się coraz zuchwalsi.

— No, teraz przebrała się miarka — mówił Gołubiew tonem spokojniejszym — już my ich przykrócimy.

— Daj to panie Boże — skłonił się urzędnik i wyszedł.

Gołubiew wstał z fotelu i przechadzał się po obszernym pokoju, rozmyślając nieustannie nad śmiercią Krasotina.

Kto też po nim zostanie naczelnikiem ochrany? Pewno podpułkownik Masłojew, gdyż on zastępował Krasotina w czasie jego nieobecności. Ale mniejsza z tem kto, zawsze po nim pozostał projekt uspokojenia kraju i zduszenia rewolucyi za pomocą wypraw karnych. O projekcie wiedział tylko Krasotin i Gołubiew, który na tę myśl uśmiechnął się. Ten projekt poda teraz on sam... czuł, jak wzrasta w łaski i znaczenia... dostanie krzyż, awans, nagrodę... Ani się spodziewał, że śmiercią swoją tak mu się przysłuży! Zaraz na najbliższej sesyi wystąpi z tym projektem, a po takiem morderstwie znacznej osobistości nie ulega wątpliwości, iż wszyscy zgodzą się na jego plan uspokojenia kraju.

Spojrzał na zegarek; za kwadrans przyjedzie Czerniejew, trzeba mu złożyć szczegółowy raport o dokonanem morderstwie. Podszedł do telefonu i kazał się połączyć z kancelaryą oberpolicmajstra. Słuchał odpowiedzi bardzo uważnie i spytał:

— Co za wyrok trzymał w ręku?

Opowiedziano mu treść, zażądał, aby mu odczytano oryginał. Słuchał spokojnie wyliczenia przyczyn wydania wyroku śmierci przez partyę, dopiero przy ostatniem zdaniu zawołał zaniepokojony:

— Proszę powtórzyć... wolno i wyraźnie.

Telefonujący odpowiedział wybitnym głosem:

— Wreszcie za podły projekt wypraw karnych, celem zgnębienia ruchu wolnościowego...

— Dziękuję... dosyć — Gołubiew odłożył słuchawkę telefoniczną.

Teraz dopiero zrozumiał przyczynę śmierci Krasotina. Zamordowano go, aby równocześnie zabić jego projekt wypraw karnych. Zatem oni pochwycili jego tekę, oni odczytali wczoraj projekt, a dziś zamordowali twórcę... Pośrednią przyczyną śmierci pułkownika było zostawienie teczki w dorożce!... Ktoś się złakomił, przeczytał i jako wróg rządu posłał dokument do partyi. Cóż to za zawzięty, jaki podły naród!

Teraz naturalnie o wyprawach karnych nie można wspomnieć, wszyscy będą wiedzieli, że to projekt Krasotina!

Może zaczną szukać w papierach po zabitym, rozpoczną dochodzenia, jakim sposobem ów projekt przeszedł w ręce partyi, kto zdradził i gdyby on powtórzył, dochodzonoby, skąd wie, gdzie widział, a w każdym razie obecnie musi powiedzieć, że to plan Krasotina... A jeśli dowie się partya, że on wznawia plan wypraw karnych, mogą go tak samo zamordować, jak Krasotina... Nie, najlepiej zniszczyć cały projekt, po co i na co narażać się? Jak raz zginie, życia nikt mu nie zwróci!...

Po tej filozoficznej uwadze podszedł do biurka i nawet z pewną przyjemnością podarł w drobne kawałki napisany projekt.

Zawiadomiono go, że przyszedł Czerniejew. Sekretarz z odpowiednią miną żałobną poszedł do raportu i meldował śmierć Krasotina.

— Wiem — rzekł chmurny Czerniejew — zarządź pan pogrzeb na koszt państwa... nie żałować wydatków... szkoda człowieka.

— Ogromna szkoda — powtórzył sekretarz smutnym głosem.

— Zanim nastąpi decyzya z Petersburga, obowiązki naczelnika ochrany będzie spełniał podpułkownik Masłojew... stosowny rozkaz da mi pan dzisiaj do podpisu.

— Słucham waszej ekscelencyi.

— Jest co nowego? — spytał Czerniejew i wysłuchał w odpowiedzi całego szeregu spraw pomniejszych, co do których dał pewne wskazówki i spytał:

— Cóż słychać ze strejkiem kolejowym? Są jakie raporta?

— Wszystkie brzmią spokojnie. Odezwa waszej ekscelencyi poskutkowała uspokajająco. Strejku napewno nie będzie.

— To dobrze — skinął głową Czerniejew.

Gołubiew niskim ukłonem żegnał przełożonego, gdy wniesiono depeszę, a Czerniejew rzekł:

— Zaczekaj pan — i szybko przebiegł oczyma depeszę.

— Linia Moskwa-Woroneż stanęła dzisiejszej nocy... To źle!

— Manewr rewolucyonistów — uśmiechnął się drwiąco sekretarz — próba się nie uda. Batalion kolejowy zastąpi służbę ruchu i wszystko będzie w porządku.

ROZDZIAŁ XII.

— Wiecie — zawołał Figura, wpadając do mieszkania Porwy — już cztery linie z Moskwy stanęły dziś.

— O dwóch wiem — odpowiedział Porwa witając przybyłego — Moskwa-Woroneż i Moskwa-Archangielsk.

— To depesza z nocy, a dzisiejsza donosi o strejku Moskwa-Kazań i Moskwa-Uralsk... Górą nasi! — śmiał się wesoło — organizacya wspaniała i dotrzymali co do dnia i godziny.

— To nasz dzień zwycięstwa — zapalała się Logika.

— Jeszcze nie tryumfujcie towarzyszko — rzekł Porwa — to początek tej walki, w której i my bierzemy udział... czekajmy rezultatu.

— Ach, wy mi zawsze psujecie najpiękniejsze wrażenia — powiedziała z odcieniem goryczy — czyż nie widzicie tej wspaniałej chwili historycznej, którą przeżywamy?

— Wy Logiko robicie z tej fazy rewolucyjnej obraz artystyczny — uśmiechnął się Porwa — a ja patrzę na rezultat praktyczny.

— Dajcież mi święty spokój z waszem filisterstwem — odmruknęła gniewnie.

— Uspokójcie się dzieci — odezwał się Figura, gładząc brodę — oboje macie racyę. Logika zachwyca się i entuzyazmuje ruchem i to jest w porządku, a że wy towarzyszu nie dajecie się porwać zapałami i obliczacie, to również jest w porządku. Zawsze tak bywa: chłop o chlebie a baba o fiołkach.

Logika rozpogodziła swe jasne czoło i zwróciła się z uśmiechem:

— Słuchajcie Porwa, w takiej chwili nie mogę i nie chcę mieć nawet cienia żalu do towarzyszy...

— Korzystam z waszego rozczulenia — zaśmiał się Porwa — i zawieram z wami zaczepno-odporne przymierze.

— Wy Porwa bylibyście przyjemni, gdyby nie wasza drobnostkowość... — uśmiechnęła się Logika.

— To samo powiedziałbym o was... gdyby nie wasze zacietrzewienie.

— Ja!? Ja zacietrzewiona!? dobry sobie ten

Porwa — zaśmiała się z ironią — sam jak sroka w kość wpatrzony w swoją polskość... i zarzuca mi!.. Co wy na to powiecie Figura?

— Wam Logiko przyznaję słuszność, gdyby nie Porwa, dziś stanęłyby nasze koleje.

— Zatem kto jest i drobnostkowy i zacietrzewiony? — uśmiechnęła się drwiąco.

— Ten, kto krytykuje jednostronnie, jak wy i Figura — odpowiedział z pogodną twarzą — wy oboje dla chimery nieuchwytnej, nie dającej się urzeczywistnić, poświęcacie życie i pracę setek pokoleń, walkę stuletnią i stosujecie miarę waszej chimery do życia, które wre, kipi, przewala się przed waszemi oczyma.

— A wy to życie chcecie wtłoczyć w jedną malutką klateczkę narodowościową — zadrwił Figura.

Zadzwoniono w umówiony sposób i szybko wszedł Kola.

— Słuchajcie: Moskwa-Kursk, Moskwa-Niżny Nowgorod i Moskwa-Brześć stanęły... Wiadomość pewna, bo urzędowa.

— Moskwę zdobyliśmy! — zawołała Logika z błyszczącemi oczyma — w naszych rękach serce państwa, teraz idzie o głowę hydry, o Petersburg!

— I on będzie nasz — zapewniał Kola — prawdopodobnie dzisiejszej nocy zastrejkuje reszta kolei.

— Słuchajcie Porwa — rzekł miękkim głosem Figura — dajcie hasło, aby zaprzestano pracy i w Królestwie.

— Nie, nie mogę.

— Ależ zlitujcie się — mówiła Logika — już siedm linii stanęło... czy wam i tego mało?

— Dla mnie byłoby dosyć — odpowiedział Porwa — i nie mniej od was drżę z niecierpliwości, ale uchwała zapadła, że strejkujemy po Moskwie-Petersburg i tej się muszę trzymać. Nowe hasło mogłoby wywołać zamęt.

— Więc przynajmniej niech staną Nadwiślańskie —dorzucił Kola — i tak Moskwa-Brześć nie funkcyonuje.

— Nie – rzekł Porwa krótko.

— Z uporem nie poradzisz — zadrwiła Logika — czy przynajmniej macie jakie poważne przyczyny?

— Jeśli i są, to małoważne — rzekł Figura z przekąsem — on uprawia sprzeciwianie się jako sport.

— Moi towarzysze, nie gorączkujcie się – przemówił Porwa spokojnie.

— Przepraszam was za moją porywczość — wyciągnęła Logika rękę ku Porwie.

— Tu w pokoju nic nie uradzimy — przemówił Porwa — do pracy towarzysze! Przygotować organizacye kolejowe, aby zaprzestały pracy na dany znak... a równocześnie rozwińmy agitacyę za strejkiem powszechnym. Gdy całe miasto zastrejkuje, nie znajdą winnych.

— Idziemy! — powstali, a Kola zbliżywszy się do Logiki, szepnął: — czy Wanda zawiadomiona o strejku w Moskwie?

— Nie wiem... może Bal?

— Musimy ją uwiadomić... gdybym nie znalazł Bala, sam zrobię.

Już wychodzili z mieszkania, gdy Figura dostrzegł idącego po schodach Bala.

Powitano go głośno i wesoło, zawiadamiając o zastrejkowaniu siedmiu linij kolejowych.

— Cóżeś taki chmurny? — spytał Kola.

— Zabrano nam trzech z komitetu — westchnął Bal — szkoda ludzi.

— Kto taki? gdzie? — zawołał Porwa i otworzywszy drzwi mieszkania, dodał: — nie stójmy na schodach, wejdźcie.

— Czekaliśmy transportu broni i bomb — zaczął Bal, zapaliwszy papierosa — a że były pilne, Burtowski ofiarował się przywieść. Czekał na dworcu Morzyński i we dwóch pojechali do naszego magazyniera, Witkosławskiego. Widocznie żandarmi byli na tropie, gdyż zaledwie poczęli wypróżniać zawartość kufra, wpadli żandarmi i zabrano ich i broń.

— Gdzie ich powieźli? — spytal Porwa.

— Nie wiem, ale grozi im pewna śmierć, z bronią, z bombami... a bodajże ich! — zaklął Bal z cicha — tak się dać złowić w samotrzask!

— Musimy ratować — gorączkował się Porwa — czy uprzedzono już o ich aresztowaniu rodziny? czy usunięto papiery?

— To zrobiono, ale ich szkoda i broni... tak liczyłem — wzdychał Bal.

— Ileż tam było? — spytał Kola.

— Dziesięć karabinów mauserowskich, trzydzieści browningów i piętnaście form na bomby... nie licząc granatów ręcznych i kapsli wybuchowych...

— To wielka szkoda — rzekł Porwa — lecz broń da się powetować, ale ci nasi!

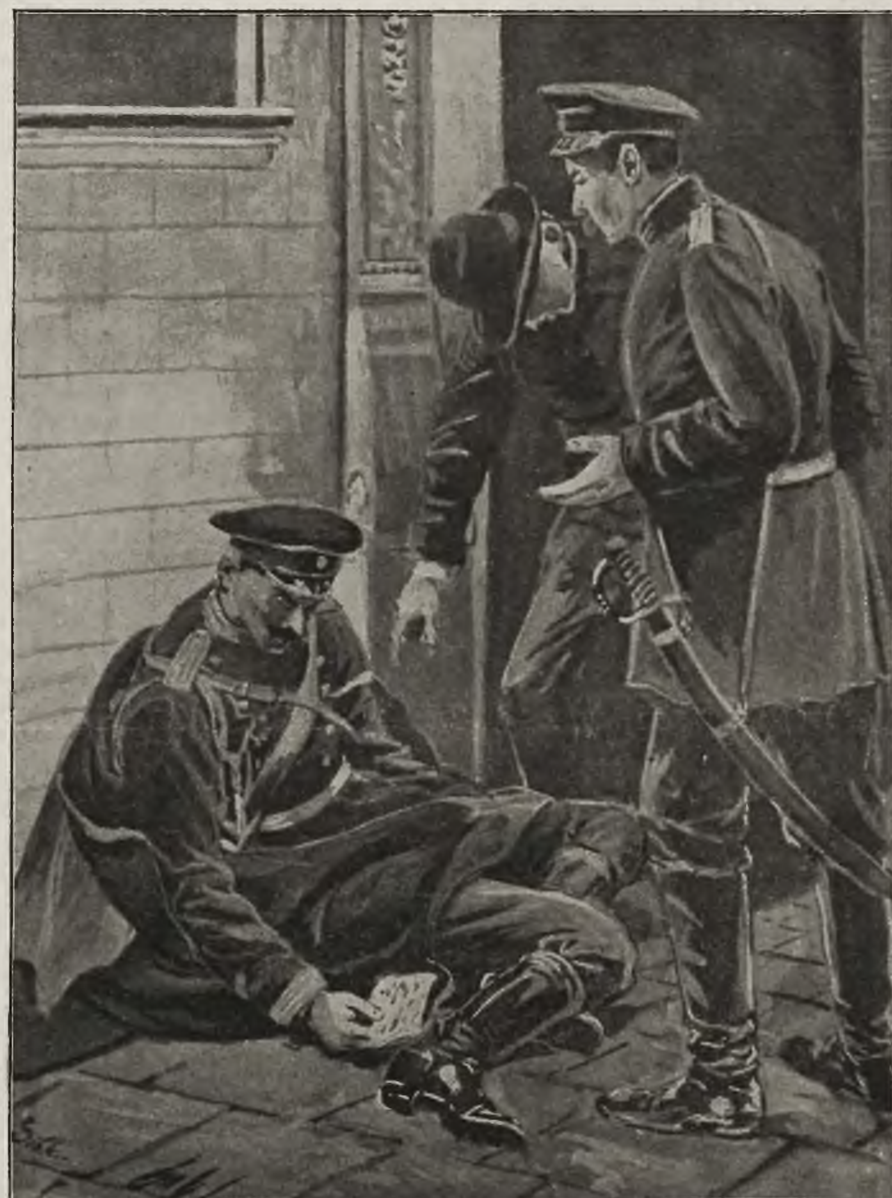
— Że też nie bronili się — odezwała się Logika — tak czy siak czekała ich śmierć.

— Broń była rozebrana na części i prawdopodobnie żandarmi wkradli się podstępnie... może szpieg podsłuchał sygnał, dość, że źle!

— Któż został w komitecie — spytała po chwili Logika.

— Jeszcze pięciu — odpowiedział Porwa — i trzeba zarządzić wybory.

— Czy liczycie Wichra?



...i odstępując od leżącego, mruknął: Ubili!...

— Tak jest. A teraz Balu dowiedz się, gdzie umieszczono aresztowanych, a my do roboty. Wieczorem u mnie.

— Idę — rzekł Bal a zwracając się do Koli, szepnął ciszej: — napisz do Wandzi o strejku, o uwięzionych ani słowa.

— Zrobione — uśmiechnął się Kola — dziś wieczorem będzie list miała.

Na mieście, nie wiadomo skąd i jak, wieść o wstrzymaniu ruchu na kolejach z Moskwy idących rozniosła się błyskawicznie.

Tyle przejść, zaburzeń, manifestacyj, zamachów, napadów, trwających od roku, stępiły wrażliwość publiczności. Gdy dawniej lada ostrzejsze słowo opozycyi, śmielszy dowcip, drobny zatarg z policyą i panującym systemem stawał się bardzo interesującym tematem rozmowy, dziś z obojętnością, niemal bez ciekawości dowiadywano się o zabójstwie tej lub owej osobistości, o zamachu lub rzuceniu bomby, o straceniu tylu a tylu, a już aresztowania po prostu nudziły słuchaczów.

Zainteresowanie się śmiałym a udanym zamachem na Krasotina trwało prawie pół dnia i fala życia toczyła się dalej.

Lecz gdy nadeszła cicha, bez rozgłosu wieść, bez strzałów, bomb, rozlewu krwi, że linia kolejowa Moskwa-Woroneż wstrzymała ruch... publiczność drgnęła.

Szukano i nadsłuchiwano najlżejszego echa ze wschodu, mówiono do siebie z cicha, tajemniczo, z pewną subtelną ostrożnością.

— Już stanęła jedna... co to będzie?

Olbrzymia większość ludności nie wiedziała, że ten strejk na razie oderwany, ma być jakimkolwiek hasłem. Dzienniki wspomniały o nim ubocznie, regestrując go w rubryce zamętów ekonomicznych.

A jednak każdy czytelnik szukał Moskwy, czekał na coś niezwykłego, nieoczekiwanego, być może, iż to naprężenie pochodziło ze suggestyi wtajemniczonych partyj, być może, że działały tu półszepty, półsłówka, dwuznaczne uśmiechy, ale każdy mógł wyczuć, że po przez, czy ponad milionowem miastem przeszedł prąd elektryczny, który rozbudził energię oczekiwania, podniecił gasnące nadzieje, wzmocnił siłę odporną społeczeństwa.

A gdy wieczorem padła wieść o strejku sześciu dalszych linij kolejowych, o powszechnym strejku w Moskwie, podniecenie wzrosło i co chwila dawały się słyszeć rozmowy:

— Słyszeliście, Moskwa odcięta!

— Wiem... coś będzie, ale co?

— Rząd bezsilny... poczta stanęła... telegraf nie funkcyonuje.

Jedna, jedyna partya, która z drwiącym sceptycyzmem patrzała na ten strejk, to byli endecy. Taki strejk możliwy jest jedynie w Rosyi, gdzie ludzie nie mają poczucia spełnienia obowiązków przyjętych; mówili i pisali, to burza w szklance wody, a my gotujmy się do wyborów Dumy bułyginowskiej.

Jedynie walka legalna, w parlamencie, jest nas godną i prowadzi do celu.

To ich stanowisko wzbudzało niechęć, drwiny, a oni w odpowiedzi wskazywali na rozwój wolnościowy Europy i zapewniali, że u nas podobny strejk jest niemożliwy.

Mimo tego napięcie oczekiwania rosło z każdą chwilą, ludzie odruchowo przestali się zajmować codziennemi sprawami, zaniedbywali czynności swoich, zastój wkradał się wszędzie i większość z trwożną nadzieją wyglądała jutra.

Gdy Porwa wszedł na posiedzenie organizacyi kolejarzy warszawskiego węzła, ujrzał kilkadziesiąt ludzi rozgorączkowanych, podnieconych, którzy wpatrzyli się w niego błyszczącemi oczyma, czekając z upragnieniem wieści i hasła.

To podniecenie, ta gorączka wyczekiwania, udzieliła się i Porwie, stanął przy jasno oświetlonym stole i wśród głębokiej ciszy mówił:

— Delegaci nasi kolejowi zawiadamiają kolegów, że na wczorajszem ogólnem zebraniu wszystkich delegatów uchwalono jednomyślnie wymagać od rządu, aby wszelkie żądania wolności politycznej i obywatelskiej były uregulowane jedynie tylko ona zasadzie ustawy, uchwalonej przez reprezentacyę wolną całego narodu rosyjskiego.

Westchnienia ulgi i radości dały się słyszeć, patrzano na siebie z ogromną przyjaźnią, bezwiednie podawano sobie ręce do uścisku.

— Reprezentacya — odezwał się Porwa — będzie wybrana w drodze powszechnego i bezpośredniego prawa głosowania.

— Bardzo dobrze! Tak powinno być!

I wśród tych głosów uznania i zadowolenia odezwał się jeden u uczestników szorstko:

— Chwali się naszym delegatom, że w myśl otrzymanej instrukcyi stanęli w szeregu... ale gdzie my? Gdzie Polacy i Polska?

Zawrzało na zgromadzeniu, jak w ulu. Esdecy mieli mówcy za złe, że w takiej chwili odzywa się separatyzm pepeesowy, co gorętsi pochwalali uczynione pytanie, bezpartyjni przechylali się to na tę, to na ową stronę, byle zażegnać spór, w którym musieliby otwarcie stanąć po tej lub po tamtej stronie.

(Ciąg dalszy nastąpi)

Jiu-Jitsu.

Świat już dawno pogodził się z tym faktem, iż wszyscy ludzie nawzajem ze sobą walczą, iż każdy chce prześcignąć drugiego, zyskać nad nim

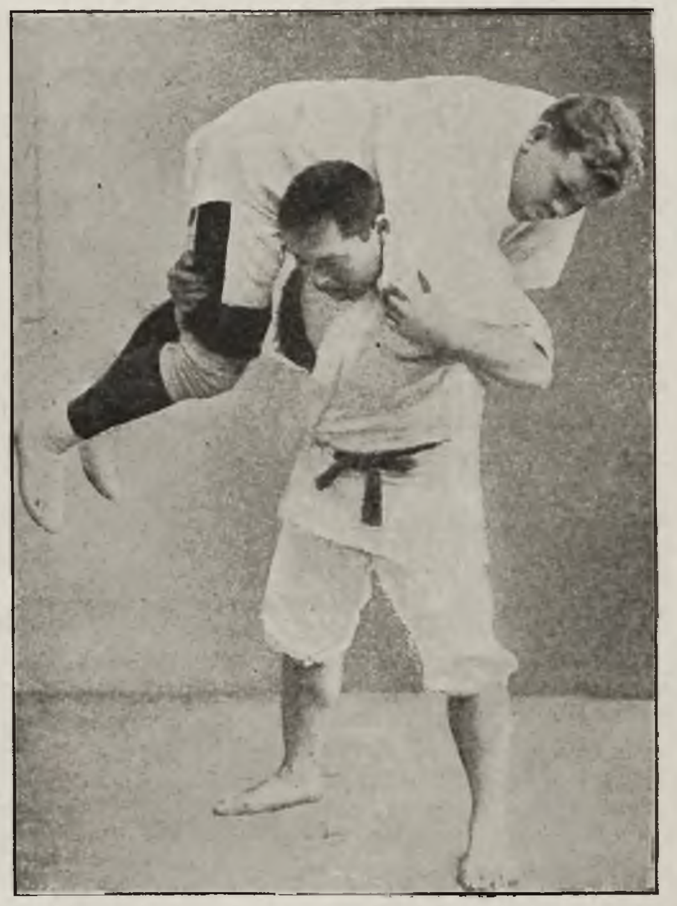


Jiu-Jitsu: Ubezwładnienie przez uderzenie w nogę.

przewagę, bo w ten tylko sposób może sam siebie zabezpieczyć. Już starożytni Rzymianie uznawali tę zasadę i zawarli ją w maksymie, iż „człowiek człowiekowi jest wilkiem“. Nie zawsze ta walka bywa krwawą, jednak zawsze z natury rzeczy musi się kończyć porażką jednego, który znowu wetuje sobie przegraną na słabszym od siebie. Żadne zjawisko życia nie jest z tej zasady wykluczone. Nawet o rzecz najwznioślejszą, jaką jest miłość, ile to walk się odbywa, jak ludzie rywalizują ze sobą! Uczucie to, jakby stworzone, by tylko radość i szczęście nieść, sprowadza niestety aż nazbyt często rozpacz i śmierć. Od początku swego istnienia starali się też ludzie zyskiwać jak najwięcej sił, by stać się najbezpieczniejszymi. U starożytnych ludów widzimy, jaką wagę przykładano do sił fizycznych; urządzano specyalne igrzyska, walki olimpijskie, w których zwycięsca otrzymywał w nagrodę wieniec laurowy i stawał się bohaterem narodowym. Taki stan ciągnął się przez szereg wieków, aż do naszych czasów i nic dziwnego, że nawet rządy popierały taką walkę, bo przecież one walczyły ze swymi sąsiadami tylko siłą fizyczną; kto miał mocniejsze muskuły, ten zwyciężał. Stan ten przetrwał aż do dzisiaj, nic dziwnego też, że wszelkie popisy siłaczów cieszą się uznaniem u publiczności, która wprost żywiołowo przyjmuje sama udział w tych walkach. Każdy niejako naród miał swój sposób walki, więcej lub mniej brutalny, naprzykład walka francuska, kto kogo sprężystością mięśni pokona i angielska, boksowanie, z których zawsze wychodziło się dotkliwie potłuczonym.

W naszych czasach — powstaje w walce ludzkiej pewien zwrot, bo przybywa nowy czynnik, siła umysłowa, spryt, a zanik niejako sił fizycznych. Dawniej mieli wszyscy wygimnastykowane członki, a umysł w uśpieniu, dzisiaj dzieje się zupełnie naodwrót, bo mało ludzi większą wagę kładzie na gimnastykę, a za to wszyscy starają się o wyćwiczenie umysłu. Nic dziwnego też, że umysł odgrywa teraz niejako większą rolę niż ciało, nawet w walce fizycznej. Wprowadza to najnowsza, a dotąd zwycięska szkoła japońska. Szkoła ta, nazywająca się Jiu-Jitsu, opiera swą walkę na znajomości budowy ciała ludzkiego, która przedstawia u normalnego człowieka, dobrze rozwiniętego, aż nadto słabych miejsc; znajomość też i wykorzystanie ich u przeciwnika — oto na czem opiera się Jiu-Jitsu. Że walka ta ma daleko większą przyszłość przed sobą, niż wszelkie zapasy siłaczów, nie ulega wątpliwości, bo gdy te służą tylko do popisów cyrkowych, Jiu-Jitsu ma wielkie znaczenie praktyczne i najzupełniejsze zastosowanie w życiu codziennem, jako obrona własna; wielką pomoc może nieść i policyi przy aresztowaniu złoczyńców, którzy siłą nieraz chcą się ustrzedz przed uwięzieniem. Już przed dwoma laty sprowadzono nauczycieli tej walki do Paryża na użytek tamtejszej policyi, której oddaje nadzwyczaj wielkie usługi w walce z tamtejszymi apachami, zdecydowanymi na wszystko opryszkami. Obecnie zaprosili do siebie i Niemcy nauczyciela tej szkoły p. Ono Akitaro. Nie wysoki, szczupły, jak każdy Japończyk, daje sobie jednak radę z przeciwnikiem, nieskończenie od siebie silniejszym i lepiej zbudowanym. Ono Akitaro walczy tylko znajomością a natomii, umie wyzyskać słabe strony budowy ciała ludzkiego. Człowiek musi utrzymywać ciągle równowagę, bo inaczej przewróci się, a mistrz japoński chcąc położyć przeciwnika, wyprowadza go z równowagi, przez lekkie uderzenie w słabą część nogi, naprzykład koło kolana, przez co zatrzymuje sprężystość nogi na chwilę tylko, podczas której jednak zdołał powalić już wyćwiczonego przeciwnika. Ubezwładnia go naprzykład przez ujęcie w odpowiedni sposób jednej jego ręki, a nawet przez schwytanie tylko małego palca u ręki.

Kilka fotografij z tych zapasów obecnie podajemy Czytelnikom, odsyłając ich po szczegółowe informacye do specyalnych o tej walce książek, istniejących we wszystkich językach. Mamy już Jiu-Jitsu wyłożone i po polsku.



Jiu-Jitsu: Chwyt barkowy.

Skon niemieckiego parlamentarzysty.

W historyi niemieckiego parlamentaryzmu wybitną rolę odegrał zmarły przed kilku dniami Wilhelm von Kardorff. Obok Windhorsta, centrowc a, obok socyalisty Bebla i Eugeniusza Richtera należał on do najpopularniejszych postaci na arenie parlamentarnej w Berlinie, gdzie działalność rozpoczął przed 40 laty, a skończył dopiero w poprzedniej kadencyi.

Urodzony 1828 r. w Neustrelitz, ukończył studya prawnicze w Heidelbergu, Berlinie i Halli, poczem poświęcił się służbie rządowej. Po kilku latach rzucił ją jednak, aby objąć zarząd swych dóbr, a równocześnie wystąpić na szerszą widownię, jako parlamentarzysta. Z przekonań konserwatysta, potrafił sobie szczerością przekonań i niezwykłą otwartością pozyskać szacunek kół nawet najbardziej liberalnych. Kardorff stał w stosunkach bliskich z „żelaznym księciem“ Bismarkiem i dzięki temu mógł wywierać wielki, niemal decydujący wpływ na politykę wewnętrzną w Niemczech. Opinia powszechna uważała też Kardorffa za twórcę ceł opiekuńczych i za sprawcę drożyzny w Niemczech. Obdarzony talentem oratorskim, wykształcony głęboko i wszechstronnie, w dyskusyi cięty i zjadliwy, był przeciwnikiem groźnym, z którym każdy liczyć się musiał

W ostatnich latach działalności parlamentar-



Jiu-Jitsu: Jeden z chwytów japońskiej metody.

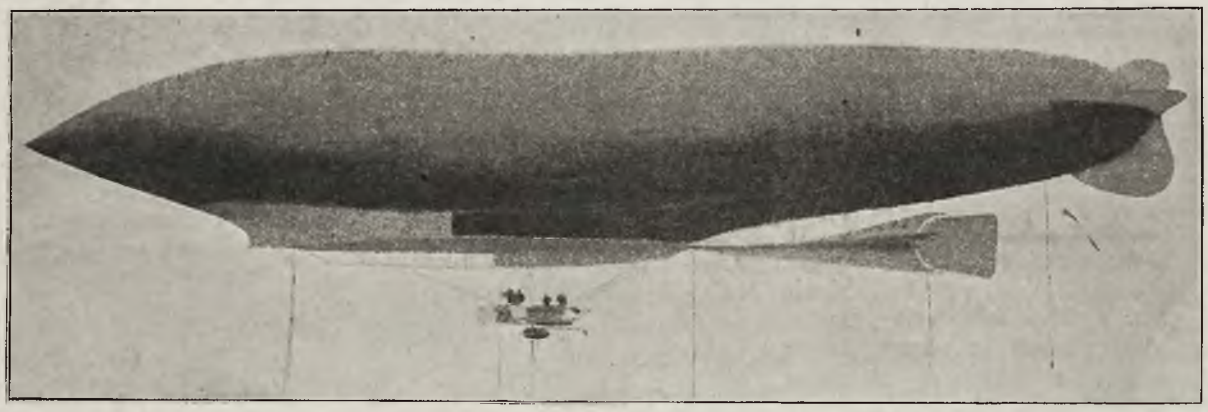


Skon niemieckiego parlamentarzysty: Wilhelm v. Kardorff.

nej należał do zaciętych wrogów socyalnej demokracyi, której wzrost i siła w parlamencie szczególniej do irytowała. Przeciw socyalnej demokracyi domagał się on wprost praw wyjątkowych, do czego atoli nie doszło.

Przy ostatnich wyborach upadł, a upadł nie przeciw liberaliście albo socyaliście, z którymi zacięcie zawsze walczył, lecz z powodu odwrócenia się od niego tych, których interesów bronił namiętnie przez całe życie — konserwatywnych agraryuszów. Niewybranie do parlamentu dotknęło Kardorffa bardzo boleśnie, czuł się bowiem — mimo 79 lat życia — na siłach do pełnienia obowiązków poselskich. Przywiązany i przyzwyczajony zaś do pracy parlamentarnej, którą interesował się do ostatnich chwil życia, przebywał często w Berlinie i z loży przysłuchiwał się obradom parlamentarnym.

W stosunku do Polaków pod zaborem pruskim należał zawsze do ich wrogów i to do zaciętych, choć nie posuwał się do dzikiej i brutalnej nienawiści, jak inni szermierze pruskiego krzyżactwa. Skon jego zresztą nie może wpłynąć w niczem na zmianę położenia Polaków w Poznańskiem, to też przyjęto tam wiadomość o nim z zupełną obojętnością.



Podbój powietrza: Francuski balon »Patrie« podczas wzlotu.

Śmierć zawziętego Polakożercy.

Pisma codzienne przyniosły w ubiegłym tygodniu wiadomość o śmierci jednego z najzacieklejszych wrogów polskości, jednego z tych, co byli twórcami osławionego w zaborze pruskim „Ostmarkenverein“, co pod pokrywką patryotyzmu niemieckiego szerzyli nienawiść do narodu polskiego i dążyli do jego zagłady. Ale siła żywotna narodu polskiego jest zbyt wielka, a kultura jego zbyt wysoka, by nawet orgie hakatystycznych związków mogły go zgnieść i osłabić. Toż wielu z tych wrogów polskości zmarło, zmarł teraz i jeden z ich przewódców, a naród nasz rozwija się stale i daje wciąż dowody swej żywotności. Bo nie w ludzkiem ręku leży moc zgładzenia jej.

Tym zmarłym świeżo przewódcą hakatystów był Krzysztof Tiedemann. Rodem z Szlezwigu, oddał się po ukończeniu studyów prawniczych karyerze urzędniczej a powołany w 1879 jako tajny radca rządu do boku Bismarcka, stał się najżarliwszym jego zwolennikiem i zausznikiem równocześnie. Karyerę urzędniczą zakończył w 1879 r., przechodząc w charakterze prezydenta regencyi bydgoskiej w stan spoczynku.

Tiedemann był równocześnie posłem do sejmu pruskiego w latach 1873 do 1903 a od 1898 do 1906 członkiem parlamentu rzeszy. I tu właśnie, na stanowisku polityka i parlamentarzysty, zaznaczył się ten człowiek jako zaciekły wróg wszystkiego co polskie. Nie było dość brutalnego, dość dzikiego środka, któregoby się Tiedemann i jego przyjaciele polityczni wahali użyć, byle tylko zamanifestować swój krzykliwy patryotyzm pruski, byle tylko gnębić żywioł polski. To wszystko, czego się „Ostmarkenverein“, pod troskliwą opieką rządu niemieckiego, dopuścił w ostatnich latach wobec Polaków pod zaborem pruskim, zasługuje na miano zbrodni. A prąd ten — niestety — staje się coraz silniejszym. Nie dość było hakatystom pozbawić braci naszych wolności słowa i przekonań, nie dość znęcać się nad dziatwą polską za modlitwę w ojczystym języku, nie dość całego szeregu prześladowań na wszystkich polach — oni chcą pozbawić Polaków tego, co jest najdroższem dla każdego, co jest podstawą bytu, chcą ich pozbawić ziemi...

Miejmy jednak nadzieję, że jak dotychczas tak i nadal zakusy hakaty rozbiją się o żelazną wytrwałość i niespożytą siłą narodową Polaków i że raczej i prędzej wymrą wszyscy Tiedemanni i inni hakatyści, niż naród nasz.

Portret zmarłego wodza hakaty, K. Tiedemanna, załączamy w dzisiejszym numerze.



Smierć zawziętego Polakożercy: Krzysztof Tiedemann.

Warszawscy antialkoholiści.

Idea wstrzemięźliwości od trunków alkoholicznych z dniem niemal każdym zyskuje zwolenników i gorących propagatorów, w kołach zarówno mężczyzn, jak kobiet. I wśród naszego społeczeństwa agitacya antialkoholiczna zapuszcza coraz głębsze korzenie i we wszystkich dzielnicach.

Nową placówką tej pięknej i tak pożytecznej idei, będzie stow. „Przyszłość“, które w ciągu najbliższych dni rozpocznie w Warszawie działalność, opartą na zatwierdzonych przez władze statutach. Nowy ten związek zgromadził w swych kadrach wszystkich wybitnych apostołów abstynencyi, z dr. Wróblewskim na czele.

Kroki ku zalegalizowaniu tego rodzaju instytucyi, instytucyi powołanej do walki ze straszną klęską alkoholizmu, czynione były w Królestwie Polskiem od całego szeregu lat, zawsze jednak inicyatorowie tej myśli spotykali się z odmowną odpowiedzią ze strony władz. Raz było przyczyną to, że rząd sam miał stworzyć instytucyę tego rodzaju,



Warszawscy antialkoholiści: Grono członków nowo zawiązanego w Warszawie stow. przeciwalkoholicznego »Przyszłość«.

a drugi raz, że stworzone istotnie, rządowe „Kuratoryum trzeźwości“, vel „Opieka nad trzeźwością ludu“ po trzyletnim, dychawicznym żywocie, zbankrutowała w całym kraju. Ostatecznie jednak ponawiane niejednokrotnie usiłowania odniosły skutek i władze zatwierdziły przedłożoną ustawę nowego towarzystwa.

W ostatnią niedzielę członkowie założyciele „Przyszłości“, pragnąc obliczyć swe siły, urządzili wycieczkę do Młocin. Zdjęcie grupy uczestników tej wycieczki a członków nowego Związku, zamieszczone w dzisiejszym numerze, daje pojęcie, jak szybkim jest rozwój „Przyszłości“ i jak znaczna liczba zwolenników abstynencyi uszeregowała się pod sztandarami towarzystwa.

Tymi dniami ma się odbyć walne zgromadzenie „Przyszłości“, poczem rozpocznie się prawidłowa jej działalność. Oby była jak najskuteczniejszą!

Podbój powietrza.

Statek powietrzny, którym możnaby było kierować, wydawał się marzeniem nieziszczalnem, ułudą, do spełnienia której napóźno świat dąży. Sądzono, iż człowiek stworzony na ziemi, nie może wznieść się ponad nią, że byłoby to coś sprzecznego z naturą ludzką, a jednak pomimo tych wierzeń, ludzkość nigdy nie przestawała dążyć do osiągnięcia tego celu, do pokonania powietrza, jak już pokonała ziemię i wodę. W zamierzchłej już starożytności czyniono próby wznoszenia się w powietrze. Znamy legendę, iż Ikarowi przylepiono woskiem ogromne skrzydła, za pomocą których wzniósł się już wysoko po nad ziemię, lecz wosk stopniał od promieni słońca, skrzydła odpadły i biedny Ikar znalazł śmierć na ziemi, którą chciał porzucić. Potem przez całe wieki nie słychać prawie o wznoszeniu się w powietrze, aż dopiero przed kilkuset laty sławny mechanik i malarz Leonardo da Vinci począł znowu czynić próby zbudowania ogromnych skrzydeł; skutek prób czynionych był nieszczęśliwy, bo służący mistrza znów znalazł śmierć na ziemi, gdyż skrzydła go zawiodły.

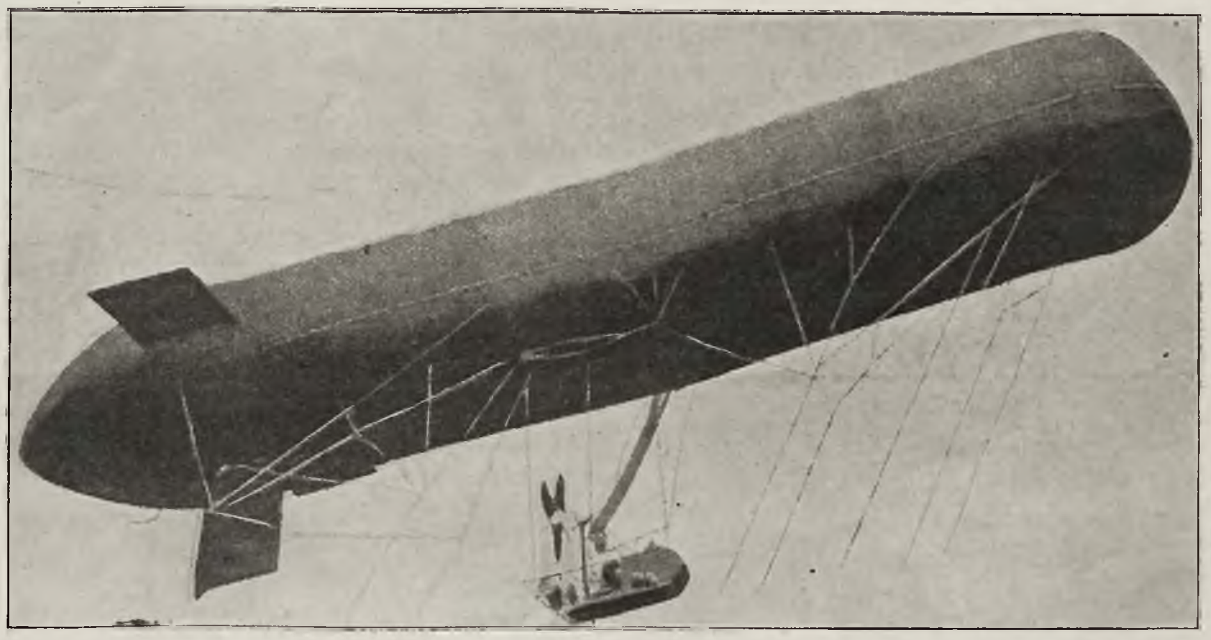
Teraz rzeczywiście człowiek podbił powietrze pod swą władzę, stał się panem całego świata. Do tej pory ciągłe wynalazki czynione dla ułatwienia człowiekowi przenoszenia się z miejsca na miejsce, postępowały w jednym kierunku, tj. aby zdobyć jak największą szybkość i przez samochody osiągnięto ją prawie że zawrotną, lecz i te samochody nie wytrzymują najmniejszego porównania z balonem dającym się kierować.

Francuski balon „Patrie“ już dziś przedstawia typ, zdatny do użytku wojennego; przez 3 godziny utrzymywał się ten statek w powietrzu, manewrując z całą precyzyą. „Patrie“ ma kształt cygara o pojemności około 3000 metrów sześciennych. Powłoka nieprzemakalna, składa się z podwójnej kauczukowej materyi bawełnianej. W łódce zmieścić się może 6 osób. Motor benzynowy waży 70 kilogramów, balast wynosi około 1000 klg., szybkość 12 metrów na sekundę. Fakt, iż powłoka „Patrie“ jest z materyału pół-wiotkiego, ułatwia przewożenie statku do miejsca przeznaczenia. W porównaniu z próbami, dokonanemi w latach 80-tych przez oficerów francuskiego parku aeronautycznego, Renarda i Krebsa, widać postęp olbrzymi; ich motor n. p. ważył co najmniej 600 kg.

Francuskiej „Patrie“ nie ustępuje wszakże zdaniem fachowców, nowy typ niemieckiego statku powietrznego majora Parsevala; statek ten, kształtu cylindrycznego, wykazał też zupełną zdatność, osiągnął tylko nieco mniejszą szybkość, gdyż 11 metrów na sekundę. Obok tego typu pewne szanse posiadać ma i niezależnie od powyższego skonstruowany statek pułkownika Sperlinga.

Sprawozdawcy pism podkreślają szczególną użyteczność statków powietrznych dla twierdz podczas oblężenia, zwracają jednak uwagę na to, iż statki powietrzne nie są w stanie borykać się z silnemi burzami; zresztą w takich chwilach nie unosi się w powietrzu i ptactwo, wiekami przystosowane do szybowania w tej sferze... Fachowcy sądzą, że mieści się tu nietylko dzisiejsza, techniczna — lecz wogóle naturalna granica żeglugi powietrznej; od jak dawnych czasów człowiek ujarzmił morze, ile udoskonaleń poczyniono, a przecież dotąd mimo mocnej konstrukcyi okrętów — stają się one nieraz igraszką wzburzonych fal... Słaby rozwój meteorologii, której krótkoterminowe z reguły prognozy tak często jeszcze zawodzą — też stanie na przeszkodzie rozpowszechnieniu się użycia statków powietrznych dla celów komunikacyjnych.

Tak, ale to obraz dzisiejszy: nic nie każe nam mniemać, ażeby wynalazek ludzki nie miał w przy-



Podbój powietrza: Ćwiczenia w powietrzu niemieckiego baloru »Sperlinga«, rywala »Patrie«.



Podbój powietrza: Wzlot w powietrze balonu »Patrie« razem z ministrami, Clemenceau i Picquartem.

szłości przewyższyć doskonałością swej mechaniki organizm żywy — ptaka; ani też nic nie pozwala twierdzić, iż dzisiejsze upośledzenie meteorologii po wsze czasy trwać będzie... Żyjemy w czasie pierwszych zwycięskich prób wdzierania się człowieka



Adwokat mordercą Adwokat dr. Karol Hau.

w niemal niedostępne dlań dotąd dziedziny: podanie o Ikarze z baśni tęczowej przedzierzga się w szarą rzeczywistość... Znalazłszy się w iwentarzu zdobyczy ludzkich — żaden wynalazek nie śniedzieje, lecz rozwija się, udoskonala, mknie drogą postępu...

Koszta budowy statku typu „Patrie" wynoszą obecnie 300.000 fr. — Parsevala 100.000 marek, Sperlinga 200.000 marek...

Zachodzi jeszcze pytanie, czy ostatnie wynalazki niemieckie są oryginalne: świeżo nadeszłe depesze z Paryża wyrażają przypuszczenie, iż Niemcy wyszpiegowali tajemnicę budowy powietrznych statków francuskich.

Adwokat mordercą.

Miłość i kobieta to dwie największe, dwie najtajniejsze zagadki życia. Miłość i kobieta, to pobudki najwznioślejszych, bohaterskich czynów, lecz zarazem i szalonych, to źródło najwyższej rozkoszy, ale też i bezbrzeżnej rozpaczy, to przyczyna częsta krwawych bojów, ale i natchnienie wieszczów. Nic dziwnego też, że w historyi życia ludzkiego pierwsze zajmują miejsce, że na każdym kroku trzeba się z tymi żywiołami spotykać. A biada temu, kto im się zupełnie podda, kto nie przeciwstawi im zimnego rozsądku i rozumu.

Ofiarą tych dwóch czynników padł młody adwokat amerykański, dr Karol Hau. Już jako 19-letni student uniwersytetu stał się bohaterem afery miłosnej. Bawiąc na Korsyce celem ratowania zdrowia, zakochał się w starszej od siebie pannie, Linie Molitor, córce dra Molitora z Karlsruhe, ponieważ jednak rodzice ukochanej nie chcieli pozwolić na związek małżeński, Hau wykradł pannę z domu rodziców i uciekł z nią do Szwajcaryi. Tam, nie mając środków do życia, zamierzali oboje zakochani popełnić samobójstwo, tymczasem nadeszło pozwolenie na małżeństwo, które też wnet nastąpiło a młoda para wyjechała do Ameryki. Dr Hau, utalentowany prawnik, zdobył sobie tam wybitne stanowisko, został prywatnym sekretarzem konsula tureckiego, przedsiębrał częste podróże do Europy, rzucał wielkie plany przemysłowe a równocześnie wykładał prawo niemieckie na uniwersytecie waszyngtońskim.

Stykając się z najwybitniejszemi osobistościami Stanów Zjednocznych, miał sposobność wykazania swych niepospolitych zdolności a przytem za przeprowadzenie kilku zawiłych spraw zyskał ogromne honorarya. Ostatnio został w sprawach handlowych wysłany do Kostantynopola. W tym czasie żona jego udała się z córeczką do Baden-Baden, aby odwiedzić matkę. Po pewnym czasie udał się tam także dr Hau, wracając z Konstantynopola.

Stosunki rodzinne wydawały się jaknajlepsze. Hauowie, małżeństwo dotąd najzupełniej przykładne i kochające się, mieszkali w domu matki wraz z siostrą Hauowej, panną Olgą Molitor. W jej towarzystwie urządzili wycieczkę do Paryża, poczem ruszyli z powrotem do Ameryki. Było to w listopadzie ubiegłego roku. W tym samym czasie została p. Molitor wśród bardzo tajemniczych okoliczności zamordowaną. Podejrzenie o tę zbrodnię padło na jej zięcia, podejrzenie tem bardziej uzasadnione, iż zachowanie się jego w krytycznym czasie było bardzo dziwne. Oto w Londynie rozstał się z żoną i wrócił do Niemiec, prosząc ją o zachowanie tajemnicy, bawił przez jakiś czas w Frankfurcie nad Menem, tam też podobno kupił sobie sztuczną brodę, poczem wyjechał do Baden-Baden. Tego samego dnia p. Molitor, trafiona kulą rewolwerową w serce, zakończyła życie. W 24 godzin później uwięziono dr Haua w Londynie. Nie tu był jednak koniec tragedyi rodzinnej. Oto żona dr Haua, na wiadomość o strasznem podejrzeniu, ciążącem na jej mężu i po rozmowie z nim w więzieniu, wyjechała do Zurychu a stamtąd do Pfäffikon, gdzie w jeziorze zginęła samobójczą śmiercią.

Po kilku miesiącach wygotowała prokuratorya akt oskarżenia przeciw dr. Hauowi, jako sprawcy morderstwa w Baden Baden. Rozprawa stała się sensacyą dnia w całych Niemczech i szeroko po za ich granicami. Oskarżony zaprzeczył kategorycznie obwinieniu, a choć przyznawał, iż niektóre szczegóły co do jego zachowania się w krytycznym czasie, były zgodne z prawdą, przecież spełnienia zbrodni na osobie p. Molitor konsekwentnie się



Adwokat mordercą: Przewodniczący trybunału dr. Ellen

wypierał. Na podstawie jednak wyników rozprawy sędziowie wydali werdykt uznający go winnym, a trybunał pod przewodnictwem dra Ellena zasądził



Adwokat mordercą: Willa »Molitor«, własność zamordowanej w Baden-Baden.

go na karę śmierci. — Sprawa jednak na tem prawdopodobnie się nie skończy, obrońca bowiem Haua, dr. Dietz, domaga się rewizyi procesu, co wobec zdania wielu wybitnych prawników a nawet psychiatrów, a zwłaszcza wobec wzburzenia opinii publicznej w Niemczech, niewątpliwie nastąpi. Jest bowiem w całej tej sprawie jakaś niewyjaśniona tajemnica, jakaś zagadka. W grę wchodzi tu druga córka zamordowanej, Olga Molitor, którą z Hauem miał łączyć stosunek miłosny. Stąd też po wyroku zasądzającym Haua ludność miasta Karlsruhe urządziła hałaśliwą demonstracyę przeciw Oldze Molitor.

Również przeciw prokuratorowi i przewodniczącemu trybunału sądowego zwraca się opinia publiczna — zarzucając im stronnicze, na niekorzyść obwinionego, skonstruowanie aktu oskarżenia i prowadzenie rozprawy. Obrońca Haua był przez cały czas rozprawy skrępowany a jego wnioski spotykały się stale z odmownemi uchwałami senatu. Na tych też nieformalnościach opiera dr. Dietz swój rekurs.

Jaki będzie dalszy przebieg tragicznej tej i tajemniczej historyi, niepodobna dziś przewidzieć; bądź co bądź, ze względu na romantyczny podkład, zainteresowała ona dziś świat cały.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy obok portretów azsądzonego za morderstwo dr. Haua i przewodniczącego rozprawy dr. Ellena, zdjęcia fotograficzne. przedstawiające miejsce czynu w Baden-Baden i willę p. Molitor.



Adwokat mordercą: Alea w Baden-Baden, gdzie teściowa dra Haua, p. Molitor została zamordowaną.

Piotr Zacone.

Zbrodnia przy ulicy Monge

Sensacyjny romans kryminalny. Tłomaczyła z francuskiego Marya S.

3 (Ciąg dalszy).

— I poszliście za nią?...

— Oh, ma się rozumieć i czyniłem to z zamiłowaniem. Nie tak łatwo wykiwać starego wróbla. Domyślałem się, że na dnie tego wszystkiego leży jakaś tajemnica, którą by warto było odkryć!... Nie wiadomo, co się kiedy może na co człowiekowi przydać. Zresztą nie było to tak trudnem. Szła przedemną z woalką ciągle spuszczoną, ściśnięta przylegającym płaszczykiem, z pod sukienki wyglądała nóżka... nóżka... powiadam panu, klękajcie narody. Nie domyślała się biedaczka, że stary Papelerd ją śledzi.

— Kończcie, kończcie.

— Oh, oh, zaraz mój panie. Po kilku minutach zobaczyłem, jak zatrzymała się przed wspaniałym domem i znikła za drzwiami, które jej otworzył portyer w liberyi.

— Znacie numer tego domu?

— Nr. 87.

— A może znane wam jest również nazwisko właściciela?

— Dowiedzenie się o tem nazwisku kosztowało mnie parę szklanek wina, które wypić musiałem na rogu w szynku; właściciel nazywa się hr. Senneterre.

Rigolo nie odpowiedział; uścisnął tylko serdecznie grubą rękę poczciwca, który mu tyle ciekawych rzeczy doniósł. Jednakże był poinformowany w jednym tylko kierunku. Wiedział, że mniemaną panią Sorel łączyły stosunki z właścicielem domu, z p. de Senneterre, ale nie wiedział, jakie ta kobieta zajmowała stanowisko. Jednakże był już pewny, że jest na właściwym tropie.

Jeszcze tego samego dnia wziął się gorliwie do dzieła; aż do nocy krążył w bliskości willi — przypatrując się jej z ciekawością. Kilka rzeczy uderzyło go zaraz z początku. Willa hr. Senneterre'a, która dotykała ul. Saint Honoré, była typowem starem mieszkaniem arystokratycznem, której właściciele—jakby pochłonięci przepełniającą ich dumą i wielkością — starali się rozmyślnie ukryć ją w cieniu. Od strony ulicy wznosił się wyniosły mur kamienicy, z bramą ciężką i wspaniałą z drzewa dębowego o misternych rzeźbach i silnych, żelaznych okuciach. Widok tego muru czynił bardzo smutne i ponure wrażenie. A jednakże ta willa znajduje się w wybranem miejscu, bo odłączona od ulicy obszernym dziedzińcem posiada z tyłu od strony Pól Elizejskich wspaniały park, ciągnący się aż do ul. św. Gabryela, okolony żelaznemi sztachetami. Jednakże i z tej strony również ciekawy wzrok przechodni nie mógł badać wnętrza willi. Sztachety ogrodu były do połowy zasłonięte żaglowem płótnem, pomalowanem na kolor zielony i obrośnięte gęstemi zwojami dzikiego bluszczu, tworzącymi rodzaj żywopłotu. Od tej strony widniała w sztachetach maleńka furtka, ale zdawało się, że dawno już nie służyła mieszkańcom willi. Musiano zapewne o niej zapomnieć. Zewnętrzna strona willi — pomimo przepysznego, otaczającego ją parku, sprawiała wrażenie dziwne, smutne i tajemnicze...

A jednakże hr. Senneterre nie żył samotnie, jakby z pierwszego wejrzenia sądzić można, widząc ten dom ponury i odosobniony — miał przy sobie miłą towarzyszkę, przy której życie mogło mu spokojnie płynąć. Markiz Senneterre miał siostrzenicę. Co prawda, to istota ta delikatna i wątła mogła być źródłem wielu niepokojów dla swojego wuja. Helena rzadko kiedy pokazywała się w świecie. Marmurowej bladości twarzyczkę rozjaśniała para błękitnych oczu o dziwnie smutnym wyrazie. Ktokolwiek widział Helenę, miał przeczucie, że istotę tę czekają w życiu głębokie cierpienia.

Pozostawmy jednak rodzinę Senneterre i powróćmy do Rigola. Po kilku godzinach upartej obserwacyi przed willą Senneterre, w chwili, gdy dziesiąta godzina biła na kościele św. Filipa, Rigolo opuścił chodnik, po którym się przechadzał i przeszedłszy Pola Elizejskie, stanął na ul. Gabryela naprzeciw furtki, znajdującej się w żelaznych sztachetach, okalających willę. Oparł się o pień drzewa i czekał. W rzeczywistości nie spodziewał się odkryć dziś nic nadzwyczajnego, ale co szkodziło próbować. Sądził, że jeżeli ten szczególny dom był otoczony jaką tajemnicą, to może łatwiej od tej strony parku odosobnionej i cichej natrafi na ślad, który mu pomoże choć w części ją rozjaśnić.

Dwie godziny upłynęły cicho i spokojnie, nie przynosząc z sobą nic nowego. Rigolo oparty o pień drzewa, z filozoficzną cierpliwością oczekiwał. Nagle skoczył, jakby dotknięty elektrycznym prądem, przycisnął się do drzewa i nadstawił ucha. Jakiś szelest dał się słyszeć od strony parku — kroki zabrzmiały w zupełnej ciszy, zalegającej ulicę i w furtce ogrodu zjawił się jakiś mężczyzna. Towarzyszyła mu jakaś kobieta.

— Hortensyo, odjeżdżam! bądź zdrowa — szeptał człowiek, ściskając mocno dłonie towarzyszki. Jesteś moją duszą! mojem życiem! Nie zapomnij o mnie!

— Jerzy! nie trać nadziei i wiary — odpowiedziała młoda kobieta. — Przysięgam ci, że cobądź się stanie, nie będę niczyją, tylko twoją.

Słowa te były tak cicho wymówione, że trzeba było posiadać słuch nadzwyczajny, jakim właśnie szczycił się Rigolo, aby je dosłyszeć. Od czegóż zresztą był ajentem policyjnym? Scena ta trwała bardzo krótko. Furtka zamknęła się natychmiast i młoda kobieta znikła pod drzewami parku. Rigolo skoczył, jak zwierz raniony i starając się o ile możności przyciszać kroki, pobiegł za oddalającym się młodym człowiekiem. Chciał się dowiedzieć, gdzie mieszka ten nieznajomy.

Jeszcze tej nocy zebrał potrzebne informacye. Młody mężczyzna mieszkał na ul. Faitbout i nazywał się Jerzy Bèraldi. Podczas gdy Rigolo śledził nieznajomego, wydarzył się wypadek, który miał zmienić wiele rzeczy i skierować poszukiwanie ajenta w inną zupełnie stronę. Dla jasności tego opowiadania musimy się teraz cofnąć o dni kilka wstecz i przedstawić szczególne sceny, które się rozegrały w małem miasteczku Cabrol, w departamencie Farn-et-Garonne. Sceny te są ściśle złączone z wypadkami w Paryżu.

. . . .

W departamencie Farn-et-Garonne leży małe miasteczko Cabrol, niesłusznie zaniedbane przez turystów i podróżnych, a które miałoby prawo do wzmianki poważniejszej przez nadzwyczajne zalety, jakie posiadają od dawna jego mieszkańcy i przez bardzo proste stosunki administracyjne i polityczne, jakie tam panują. Cabrol nie dostarczyło dotąd krajowi ani jednego obywatela, któryby wzniósł się ponad przeciętność i zasłużył na pomnik z bronzu lub marmuru. Burmistrz miasteczka to stary urzędnik o patryarchalnym wyglądzie. W radzie na zebraniach omawiają sprawy czysto lokalne, a adwokaci ziewają z nudów w swoich kancelaryach.

Życie miasteczka dziwnie jednostajne i jedyną rozrywką dla mieszkańców jest oczekiwanie w oberży „pod złotą papugą“ przyjazdu i odjazdu karetki, przywożącej podróżnych od strony Mautauban. O godzinie 10-tej z rana, gdy odjeżdża i o 4-tej z wieczora, gdy wraca, pod jedynym zajazdem w miasteczku zbiera się kilkunastu ciekawych, żądnych choćby chwilowej rozmowy z podróżnymi, przywożącymi wiadomości ze świata. Potem każdy wraca do siebie, ulice pustoszeją i miasto zalega niczem niezamącona już cisza. Jednakże spokój ten został dnia jednego silnie zakłócony.

Było to przy końcu kwietnia 18... Godzina 5-ta już dawno wybiła na wieży starego ratusza. Karetka jeszcze nie przybyła i grupa ludzi, oczekujących przed oberżą „pod złotą papugą“, zaczynała się niecierpliwić na dobre. Czyniono najdziwaczniejsze przypuszczenia. Ożywioną rozmowę przerwał tupot koni po nierównym bruku i na końcu ulicy Kapucynów dostrzeżono ciężką sylwetkę karetki. Ze wszystkich piersi wybiegło westchnienie ulgi, grupa podzieliła się na dwie części, aby uczynić szpaler nadjeżdżającemu powozowi. Po kilku minutach karetka zatrzymała się przed bramą oberży; służący wybiegł otworzyć drzwi wehikułu. W karetce znajdował się tylko jeden podróżny. Był nim może 25-letni młody człowiek. Na bladej, poważnej twarzy świeciły gorączkowo czarne, duże oczy, przybierające od czasu do czasu dzikie, ostre błyski. Był to Jerzy Beraldi. Wysiadł powoli i zwrócił się do służącego.

— Zaniesiesz tę walizę do pokoju dla mnie przeznaczonego — rzekł głosem stanowczym i rozkazującym — i podczas gdy ja obiad jeść będę, postarasz mi się o konia. Muszę wyjechać w okolicę!

— Pan nie zanocuje w hotelu? — zapytał służący.

— Zanocuję z wszelką pewnością, lecz nie mogę oznaczyć godziny powrotu. Proszę, aby pokój był przygotowany.

Wszedł do sieni i skierował się do sali restauracyjnej. W chwili gdy wstawał od stołu, biła godzina 6-ta. Koń zamówiony oczekiwał przed domem. Młody człowiek wskoczył na siodło ze zręcznością i pewnością dobrego jeźdźca, chwycił wprawnie cugle i pochylił się do służącego.

— Jestem pierwszy raz w tych stronach — rzekł przyciszonym i lekko wzruszonym głosem — i nie chciałbym zabłądzić. Pragnę się poinformować dokładnie co do drogi, którą obrać zamierzam.

— W jaką stronę pan chce się udać? — zapytał służący.

— Posiadłość, do której zmierzam, znajduje się podobno o kilka kilometrów od Cabrol i zdaje mi się, że powinna tu być znana. Nosi nazwę „Samotnego Domu“ a właścicielem jej jest Jakób Mayot...

Zaledwie młody podróżny wymówił te słowa, gdy z grupy ciekawych, przyglądających się jego odjazdowi, wybiegł szmer zdziwienia i zgrozy. Służący zaś drgnął silnie i patrzył na jeźdźca z nieopisanym wyrazem osłupienia.

— „Samotny Dom!“ — powtórzył machinalnie. — Pan naprawdę chce się udać do „Samotnego Domu?“ A czy pan zna dobrze człowieka, nazywającego się Jakóbem Mayot? I wie pan, kim on jest... chciałem powiedzieć, kim był właściwie?

— Zapewne.

— W takim razie nie mogę już żadnej uwagi uczynić. Tylko muszę ostrzedz pana, że okolica tam jest bezludna.

Młody człowiek ruszył niecierpliwie ramionami i poprawił się na siodle.

— To mnie nic nie obchodzi, — rzekł szorstko — jak również nie troszczę się o to, co mówią i robią w okolicy Cabrol. Proszę cię, powiedz mi, jaką mam obrać drogę, by dojechać do domu Jakóba Mayot?

Służący uczynił wymowny ruch zniechęcenia...

— Pojedzie pan do końca ul. Kapucyńską, potem skręci pan ua lewo i trzymać się pan będzie już tej drogi aż do Clairac. Za godzinę będzie pan na miejscu.

Podróżuy podziękował służącemu, uspokojony spiął konia ostrogą, pomknął w ulicę Kapucyńską i znikł wkrótce na zakręcie.

Młody podróżny nie przypuszczał nawet, jaką ciekawość i zaniepokojenie wzbudził swoim odjazdem. Koń dobry i silny unosił go tęgim kłusem po drodze do Clairac. Cień smutku zalegał twarz podróżnego, oczy nabrały wyrazu ponurego, w każdym ruchu przebijała się nerwowa niecierpliwość.

Najwidoczniej był on pod wpływem dręczącej a smutnej myśli, od czasu do czasu zagryzał wargi aż do krwi i błysk dzikiej energii przebiegał po jego twarzy. Nie znał człowieka, do którego się udawał i pomimo silnego, niezłomnego postanowienia, czuł chwilami ciężką niemoc, owładającą jego umysł. Krew uderzyła mu do skroni i serce biło miarowem, przyspieszonem tętnem. Człowiek, do którego udawał się młody podróżny, właściciel osławionego „Samotnego Domu“, ów Jakób Mayot, którego nazwisko wymawiali spokojni mieszkańcy Cabrol z nietajoną odrazą, piastował przez lat blisko piętnaście godność kata. W chwili, w której zaczyna się to opowiadanie, Jakób Mayot od lat kilku porzucił swoje hańbiące rzemiosło. Jakób Mayot posiadał już uzbieraną ładną fortunę, mógł więc bez troski myśleć o przyszłości. Na kilka dni przed ustąpieniem asystował ostatniej ceremonii, która poruszyła go w dziwny sposób. Pamiętano, że dnia tego był bledszy i jeszcze bardziej małomówny, niż zazwyczaj. Mówiono nawet, że omdlał na skrwawionych stopniach piekielnej maszyny. Przez dwa dni potem Jakób Mayot nie wychodził z domu, nie przyjmując też nikogo, nawet swoich pomocników. Jego żona również nie pokazała się nigdzie. Nikt dokładnie nie wiedział, czy człowiek ten miał kiedykolwiek dzieci. Wiedziano tylko, że miał żonę. Była to kobieta, dobiegająca lat czterdziestu, o gęstych, czarnych włosach, twarzy chłodnej, surowej i ponurem wejrzeniu. Nie była francuzką. Ci, którzy ją bliżej znali, mówili, że była Włoszką. Jakób Mayot żył z nią długie lata, poczem nagle, niespodzianie ją poślubił. Żyli ze sobą zgodnie i spokojnie, odosobnieni od ludzi, nie widując prawie nikogo. Zresztą wszyscy ich unikali.

Zamieszkali w małym, oddalonym domku, wśród pól, daleko za przedmieściem Paryża. Aż jednego dnia nieliczni przechodnie, którzy zabłądzili w te oddalone strony, zauważyli, że okiennice domku były szczelnie zamknięte, drzwi zabite, a na ga-

neczku pierwszego piętra wisiał na drewnianej tablicy napis: „dom do wynajęcia“.

Co się stało z lokatorami domu, nikt nie wiedział i wkrótce zapomniano o nich. Wogóle mało zajmowano się tą dziwną parą; sąsiedzi nie bardzo niepokoili się jej zniknięciem. W kilka miesięcy potem doszła wiadomość, że Jakób Mayot z żoną zamieszkał w Cabrol, gdzie miał maleńką posiadłość i tam również żyli bez przyjaciół, samotni, napozór szczęśliwi.

Nasz młody podróżny pędził drogą, wiodącą do Clairac. Droga ta, bardzo stroma i spadzista, zamienia się później w wąwóz z wybojami i przepaściami w czasie jesiennych słót lub burzy. Jerzy Béraldi nie zwracał uwagi na okolice. Od czasu do czasu lekko ostrogą przynaglał konia do szybszego biegu. Miał dobrego wierzchowca. Jechał zaledwie pół godziny, gdy nagle na zakręcie drogi jeżdziec dojrzał oddalone zaledwie o paręset metrów bielejące zdala zabudowania. Był to „Samotny dom“.

Dom ten, otoczony dookoła młodemi drzewami, przedstawiał się ładnie i wesoło ze swemi białemi ścianami i zielonemi okienicami. Okolony był kamiennym murem, chroniącym go przed ciekawością podróżnych. Z bliska mieszkanie to zdawało się być okropną pustką, nigdzie znaku życia. Ciężka, zardzewiała i zdaje się mało kiedy otwierana brama wjazdowa, czyniła smutne wrażenie. Młody człowiek zadrżał i zbladł, podjeżdżając do mieszkania Jakóba Mayot. Siłą woli otrząsnął się z wrażenia, zeskoczył z konia, uwiązał go u drzewa i szarpnął silnie za rączkę dzwonka, mieszczącego się tuż przy bramie.

Rozległ się ostry, przenikliwy odgłos. Po paru minutach usłyszał ruch jakiś w domu, rozmowę i brama otworzyła się wolno. Kobieta o spokojnym wyglądzie, zamyślona i ponura, patrzyła ze zdziwieniem na gościa. Przy zapadającem świetle dnia podróżny dojrzał siną prawie bladość jej twarzy i czarne wyraziste oczy.

— Czego pan żąda? — spytała surowym głosem.

— Pan Jakób Mayot? — odpowiedział podróżny.

— Pan chce z nim mówić?

— Życie Jakóba Mayot jest mi znanem — odparł — wiem, jakie stanowiska zajmował niegdyś. Na rozmowie z nim zależy mi więcej, niż pani może przypuszczać. To rzecz poważna!

Kobieta uparcie patrzała na młodego człowieka, jakgdyby chcąc odgadnąć jego najskrytsze myśli.

— Czy Jakób Mayot zna pana?— spytała dalej po chwili wymownego milczenia.

— Nie zna mnie, a ja zobaczę go po raz pierwszy.

— Muszę jednak dowiedzieć się o pańskiem nazwisku.

— To, które dziś noszę, jest fałszywem, niewiele z niego się dowie; lecz znanem mu napewno będzie drugie nazwisko, które znajdzie wypisane na tym bilecie.

Mówiąc to, podał kobiecie bilet, na który ta spojrzała wzruszona i zaniepokojona. Nagle zbladła jeszcze więcej, oczy jej błysnęły złowrogo i podniosła nerwowym ruchem rękę do szyi, jakby chcąc stłumić okrzyk, który usiłował się z niej wydobyć.

— To nazwisko... to nazwisko — szeptała wstrząsana dreszczem.

— Czy znanem jest pani? — spytał zaciekawiony Béraldi.

— Pan chce się koniecznie widzieć z Jakóbem Mayot? — wymówiła z trudem kobieta.

— Zrozumie pani teraz, jak bardzo mi na tem zależy. Czeka mnie święta a ciężka misya do spełnienia.

Kobieta milczała; przesunęła bladą delikatną rękę po czole, wyszeptała kilka niezrozumiałych wyrazów i potrząsając gwałtownie głową — pochwyciła nagle dłoń młodego człowieka...

— Chodź pan, chodź! — zawołała dziko. — To przecie się kiedyś stać musiało! To było nieuniknione! Jest na świecie sprawiedliwość, która opiekuje się zarówno silnymi jak słabymi — niewinnymi lub mordercami. Chodź pan ze mną.

Poprowadziła Jerzego do środka, wprowadziła go do niewielkiej sali jadalnej i wskazała mu krzesło.

— Usiądź pan i zaczekaj — rzekła — pójdę do Jakóba i pokażę mu bilet pana. Sądzę, że nie odmówi panu rozmowy. Bądź spokojny.

Wyszła żywo, a Jerzy pozostał sam w pokoju. Nowe wrażenie powstało we wrażliwym umyśle młodego człowieka.

Ta kobieta nie była zwyczajną istotą. Na twarzy jej, która zachowała ślady wielkiej piękności— widniało głębokie cierpienie. Pogardliwe spojrzenie jej czarnych oczu, nabierało chwilami wyrazu gorzkiej melancholii; nerwowe drżenie twarzy i oddech urywany wskazywały, że kobieta ta przechodziła piekło dzikiego buntu przeciw nieszczęściu lub też może wyrzutów sumienia, które ją silnie dręczyły! Młody człowiek czuł się zaniepokojonym i wzruszonym i na chwilę zapomniał o poważnym celu, który go sprowadził do „Samotnego Domu“,



— Był to rodzaj potwora wstrętnego, legendowego gnoma leśnego....

zamieszkanego przez człowieka, którego ludzie unikali. Machinalnie zbliżył się do okna i wzrok smutny skierował w ogród. Mieszkanie byłego kata jest w każdym razie polem ciekawych obserwacyi. Jerzy Beraldi z początku niedbale, później z wzrastającą ciekawością począł się przypatrywać wszystkiemu.

„Samotny Dom“ był postawiony w bardzo ładnem miejscu. Wznosił się na wzgórku, u stóp którego płynął cicho szemrzący strumień. O zmierzchu z tych głębokich, ciemnych wód wznosiła się mgła sina, która pokrywała bliższą okolicę, jakby zasłoną lekką i jasną. Dziwny urok płynął od tej doliny, której ciszę bezbrzeżną przerywało tylko szczekanie psa, lub krzyk daleki nocnego ptaka. Jerzy przez chwilę zatopił wzrok w przestrzeń tajemniczą. Mrok szary zapadał. Do duszy młodego człowieka wstąpił na chwilę spokój i ukojenie. Czoło jego się wypogodziło; westchnienie ulgi podniosło jego pierś, oczarowany widokiem chciał usiąść przy oknie, gdy nagle szmer jakiś z ogródka przerwał jego marzenia.

Z początku sądził, że to żona Jakóba Mayot wraca. Wychylił się jednakże przez okno i spojrzał w dół. Jakaś dziwaczna istota wyłoniła się nagle z gęstych krzaków kaktusów i oleandrów i szła wolno ku domowi. Młody człowiek drgnął nagle, a z ust jego wyrwał się okrzyk osłupienia. Istota ludzka, znajdująca się w ogrodzie, miała w sobie coś fantastycznego i oryginalnego. Był to rodzaj potwora wstrętnego, legendowego gnoma leśnego; członki jego były powykręcane, okropny garb wznosił się między kościstemi i wystającemi łopatkami. Z pod długich, kręconych włosów zaledwie dostrzedz było można rysy twarzy, w której jak dwa rozżarzone węgle świeciły oczy fosforycznym blaskiem. Były to oczy świecące i żółte, jakie spotyka się u kotów i tygrysów. Kto był ten oryginalny potwór, jakie stanowisko zajmował w domu kata Jakóba Mayot i co robił tu w kląbach tego ogrodu o tak spóźnionej godzinie? Rzecz cała niedługo została wyjaśniona. Gnom podszedł do domu; przeszedł powoli, ciągnąc nogi za sobą przez sień; po chwili wszedł do sali jadalnej. Stanął na progu i wodził wzrokiem ponurym dokoła. Nareszcie dostrzegł Jerzego Beraldi. Młody człowiek na widok potwora zadrżał mimowoli.

Nigdy w życiu nie widział czegoś podobnego. Z jakiej części kuli ziemskiej dostała się tutaj ta bestya apokaliptyczna? Po co tu wszedł? Czy miał co do powiedzenia i w jakim języku wyrażać się będzie? Jerzy wahał się, czy przemówić do niego a jednak nie chciał dłużej trwać w tej denerwującej sytuacyi.

— Kto jesteś? Czego chcesz? — zapytał przytłumionym głosem.

Potwór otworzył szeroko usta, pokazując rząd białych i ostrych zębów.

— Jestem Karpol — rzekł kłaniając się nisko — i przychodzę po pana.

— A więc Jakób Mayot nie chce się widzieć ze mną?

— Oczekuje pana w pawilonie w głębi ogrodu.

Jerzy postąpił ku drzwiom, lecz Karpol zatrzymał go ruchem ręki.

— Jednakże — dodał — muszę panu powiedzieć, że Jakób Mayot wahał się długą chwilę, nim zgodził się na widzenie się z panem, a nawet w pierwszej chwili stanowczo odmówił.

— Dla jakiej przyczyny?

— Pan o tem lepiej musi wiedzieć. Dlaczego więc pan o to pyta?

— Dobrze, niech i tak będzie — szepnął poruszony — ale któż wpłynął na tę zmianę?

— Roma.

— Roma? Czy to ta kobieta, która tu ze mną mówiła przed chwilą?

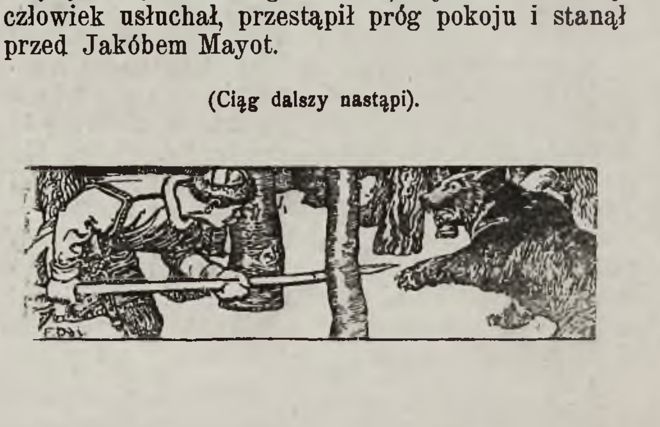
— Tak jest, ona sama.

Jerzy pociągnął ręką po czole. Czuł się silnie zdenerwowanym.

— Dobrze... dobrze – szepnął. — Podziękujesz swojej pani odemnie, mój przyjacielu... a ja nie zapomnę nigdy ważnej usługi, ktorą mi w tej chwili oddaje. Ale nie traćmy czasu! Jakób Mayot oczekuje mnie. Prowadź mnie do niego bez zwłocznie.

Potwór skierował się do drzwi, przeszedł kurytarz długi i skierował się ku pawilonowi. Jerzy Beraldi postępował tuż za nim wzruszony i niecierpliwy. Widocznie rozmowa z Jakóbem Mayot musiała być dla niego ważną. Głęboko zajęty swojemi myślami, szedł za Karpolem z głową ku ziemi spuszczoną, rozgorączkowany i niespokojny, nie zdając się zwracać najmniejszej uwagi na wszystko, co się koło niego dziać mogło. Nareszcie po kilku chwilach przybyli do pawilonu, gdzie czekał na nich Jakób Mayot. Karpol szedł ciągle przodem; uchylił ciężkiej portyery, która łączyła przedpokój obszerny z salonem, zatrzymał się na progu i ręką skinął na Jerzego Beraldi, aby wszedł. Młody człowiek usłuchał, przestąpił próg pokoju i stanął przed Jakóbem Mayot.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Potworny zbrodniarz.

Trudno wywołać większe wrażenie tam, gdzie wszelkiego rodzaju występki i zbrodnie są na porządku dziennym, gdzie poranne gazety przynoszą



Potworny zbrodniarz: Albert Soleilland.

codzień krwawe sprawozdania z nocy, której cienie, są najlepszem światłem dla wyuzdania ludzkiego. Takiem miastem jest Paryż, którego oddalone dzielnice przedstawiają całą otchłań mordów i wszeteczeństwa ludzkiego. Jednak i Paryżem tym wstrząsnął jeden okrzyk przerażenia i zgrozy na wieść o zbrodni, jakiej dopuścił się Albert Soleilland przez zgwałcenie i zamordowanie 12-letniej córki swoich dobroczyńców. Niepodobna jest prawie, by czynu takiego mógł dopuścić się człowiek, bo przecież i u najgorszych zbrodniarzy kryje się w duszy jakieś uczucie wdzięczności, które za dobro nie pozwala płacić złem, a jednak rozpusta moralna może do tego stopnia doprowdzić człowieka.

Albert Soleilland wyszedł z przeciętnie zamożnego domu, w którym nie wielką wagę przykładano do wychowania moralnego, gdyż całą uwagę pochłaniała troska o pomnożenie majątku. Młody też Albert, pozbawiony troskliwej opieki, wszedł na pochyłą ścieżkę życia, po której stoczył się aż pod gilotynę.

Zaledwie 15-letni, Soleilland zaczął już wałęsać się po ulicach, zawczasu kosztując rozkoszy, jakich Paryż dostarcza pod dostatkiem. Środki pieniężne, jakimi rozporządzał, wystarczały mu nietylko na swobodne życie, ale i na rozpustę, do której za młodu począł się wzwyczajać. Lenistwo, niechęć do pracy wprowadziły go w koła najbardziej ohydne, począł obracać się w towarzystwie stręczycieli miłości. W kołach tych poznał pewnego razu młode, niezwykłej urody dziewczę, z którem nawiązał miłosny stosunek i którego owocem było dziecię. W młodym Soleillandzie zbudziło się jakieś uczucie, zdawało się, iż istotnie pokochał matkę swego dziecięcia, lecz nie długo trwał ten stan. Troska o chleb powszedni wkrótce zachmurzyła pozorną miłość. Rodzice Alberta, gdy zwróciła się do nich z prośbą o pomoc młoda matka, okazali się nieubłaganymi i nietylko, iż nie wsparli nieszczęśliwej, lecz jeszcze obrzucili ją oskarżeniem, iż ona właśnie sprowadziła na drogę rozpusty i występku ich syna, którego też obecnie dopiero wyrzekają się.

Wtedy z pomocą tej parze, z której jedna osoba była rozpustna, a druga tylko nieszczęśliwa, przyszli z pomocą małżonkowie Erbelding, spełniający pewne usługi w domu rodziców Alberta. Pani Erbelding, zwana powszechnie „maman Nicolas“, czuła zawsze pewną słabość dla młodego Soleillanda, pospieszyła też mu zaraz z pomocą, karmiąc go i łożąc na jego utrzymanie. Od tej chwili wyszła na jaw wstrętna dusza Alberta Soleillanda. Zamiast opiekować się unieszczęśliwioną przez siebie matką swego dziecka, porzucał ją na całe dnie, by za środki, jakich mu dostarczała miłosierna Erbelding szukać na paryskim bruku nowych miłosnych awanturek. Przez taki tryb życia, brnąc ciągle w rozpuście, stępił do tego stopnia zmysły, iż począł uciekać się do ohydnych zwierzęcych podniet. Skierował swe miłosne zapały do nieletnich dzieci, aż nakoniec targnął się nawet na dziecko swych dobroczyńców, 12-letnią Martę Erbelding.

Dziecina, znając go od lat kilku, nie przeczuwała w nim swego zabójcy i dała się też bez oporu zwabić do jakiegoś zaułka, w którym zbrodniarz dopuścił się na niej wstrętnego gwałtu. Lecz nie dość mu było tego, zezwierzęcony, pozbawiony wszelkiego poczucia moralnego, obawiając się kary, chciał zatrzeć ślady swego występku i omdlałą z bólu dziewczynę zamordował, dusząc ją i sztyletując, poczem zwłoki jej wyniósł na dworzec i porzucił.

Niespokojni rodzice napróżno szukali Marty, aż naraz rozeszła się straszna wieść, iż znaleziono worek ze zwłokami nieletniego dziecka, w których też ku rozpaczy własnej rozpoznali Erbeldingowie swą córkę.

Energicznie przeprowadzone śledztwo odrazu wykryło sprawcę morderstwa, który też nie zapierał się swego czynu, lecz wyznał go otwarcie.

Pomimo miłosierdzia i litości, jakie każdy człowiek odczuwa dla karanego winowajcy, trudno znaleść łagodzące jakieś okoliczności dla Soleillanda, który w tak okrutny sposób gwałcąc i mordując dziecko swych dobrodziejów, okazał najohydniejsze zezwierzęcenie. Sąd też paryski nie mógł znaleść innej kary dla niego, jak tylko gilotynę, która przetnie jego występne życie.

* * *

Ryciny nasze przedstawiają samego zbrodniarza Alberta Soleillanda, nieszczęśliwą jego żonę, oraz salę posiedzeń sądu podczas odpowiedzi dawanych przez przestępcę.



Potworny zbrodniarz: Żona mordercy Soleillanda.



Potworny zbrodniarz: Sala posiedzeń sądu podczas zeznań Alberta Soleillanda.

Tajemniczy skon oficera.

(Do ilustracyi na stronie 4).

W ubiegłym tygodniu zmarł we Lwowie wsród tajemniczych okoliczności emerytowany kapitan 30 pp. Karol Rożiczka. Oto jak donoszą pisma tamtejsze, kapitan Rożiczka przybył z Czerniowiec do Lwowa i zamieszkał w jednym z drugorzędnych hoteli. Następnego dnia usłyszała służba hotelowa, iż z pokoju, zajmowanego przez kapitana Rożiczkę, wydobywają się straszne jęki. Po otwarciu drzwi, zobaczono nieszczęśliwego kapitana wijącego się w ciężkich boleściach. Zaalarmowano niezwłocznie

pogotowie ratunkowe, które zajęło się natychmiastową pomocą. Zapytany o powód cierpień, odpowiedział kapitan, że przez pomyłkę zażył truciznę, zamiast proszków przeczyszczających.

Lekarz pogotowia ratunkowego zastosował wszystkie wskazane środki, celem uśmierzenia bolów chorego, poczem odwieziono go karetką do szpitala powszechnego. Tam mimo troskliwej opieki lekarskiej zmarł kapitan Rożiczka po dwudniowych męczarniach. Zakończył życie w sile wieku, liczył bowiem 43 lata.

Tajemniczy, nagły skon kapitana Rożiczki dał powód do rozmaitych pogłosek. Opowiadano mianowicie, że nie zaszedł tu wypadek przypadkowego otrucia się, ale samobójstwo. Denat mianowicie musiał przed paru laty z powodu nadmiernych długów wystąpić z wojska, co wpłynęło bardzo silnie na jego system nerwowy. Od tego czasu zapadał często na zdrowiu i okazywał wielkie zniechęcenie do życia. W ostatnich czasach mieszkał w Czerniowcach i stamtąd wprost przybył do Lwowa, gdzie nagle życie zakończył.

Z TYGODNIA

Rozjechali się panowie posłowie na feryе, a przed rozjechaniem się powzięli uchwałę, dowodzącą, jak wysoko cenią swoje poświęcenie się dla dobra państwa i narodów je zamieszkujących. Dotychczas posłowie brali dyety tylko podczas trwania obrad parlamentarnych i to nie jako wynagrodzenie za pracę, lecz jako częściowy lub całkowity zwrot wydatków nieodłącznych z kilkumiesięcznem przebywaniem w stolicy państwa. Co prawda była to gratka dla posłów stale mieszkających we Wiedniu, bo ci na żadne wydatki nie byli narażeni, ale ustawa, wyjątków pod tym względem nie czyniła. Równie dobrze wychodzili na dyetach różne Hryćki i Maćki, którym głupi wyborcy powierzali mandaty; taki pan poseł mieszkał byle jako i jadł byle co i byle gdzie, więc z 20 kor. dziennie uszparował sobie 12, jeżeli nie 15, a nawet i więcej. Ha! trudno — i tu wyjątków robić nie było można. Do przeciwników dyet należeli tylko socyaliści, przytaczając, że w parlamencie niemieckim panom posłom ani feniga na mieszkanie, wikt i opierunek nie dają. Poza tem opozycya była słaba, ogromna bowiem większość uznawała, że trudno wymagać, aby posłowie dawali nietylko darmo swój czas i pracę, ale jeszcze z własnej kieszeni dopłacali kwotę, która dla wielu byłaby tak poważną, że nie mogliby nawet ubiegać się o mandaty.

Ale nikomu na myśl nie przychodziło, że można pobierać dyety nawet wówczas, kiedy parlament na czas lata zawiesza swoje czynności. Sława tego wynalazku, tej nowości, przypada niepodzielnie obecnemu „ludowemu“, czteroprzymiotnikowemu parlamentowi. Dawni posłowie — ci, co „potem ludu się karmili“, nie mieli odwagi żądać, aby im płacono za próżniactwo, za wywczasy — dopiero nowi zbawcy ludu na to się odważyli. A nie idzie tu o sumę małą, bo owe dyety za nic wyniosą blisko 1,000.000 kor. W państwie, w którem z takim trudem nieraz przychodzi uzyskać kilkadziesiąt, kilkanaście, a nawet kilka tysięcy koron na cele najszlachetniejsze, w państwie, w którem często kliniki strejkują, bo niema środków dostatecznych do ich utrzymania, w którem upaństwowienie jakiejś szkoły odkłada się z roku na rok, bo „niema funduszów“, w którem takie np. Muzeum Narodowe cieszy się niezmiernie, kiedy dostanie hojną subwencyę w kwocie 3.000 koron, w którem kilkanaście lat walczy się bez rezultatu o wybudowanie w Krakowie gmachu dla szkoły przemysłowej (grunt gmina daje bezpłatnie) — w tem państwie bezpotrzebnie, z lekkiem sercem, rzuca się 1,000.000 kor. na nic. Wprawdzie „dziki“ dr. Gross w swoim „Tygodniku“ redukuje tę sumę do 350.000 — ale zdaje się, że tym razem jego obrachunek nie jest ścisły. Dr. Gross oblicza mianowicie ogólny wydatek na dyety na 700.000 kor., ale od tego strąca połowę, które państwo „zaoszczędza“ przez niepłacenie kosztów podróży panom posłom. Otóż przerwa parlamentarna ustanie dopiero koło 10 października (wszak sejm galicyjski zwołany zostanie dopiero 10 września), a więc pp. posłowie będą „odpoczywali“ jakie dni 80, co przez 516 — liczba posłów — wynosi dni 41.580, co znowu po 20 kor. wyniesie 825.600 K, a więc blisko 1,000.000 kor. Zwrot zaś kosztów podróży (jeżeli rzeczywiście zostanie zaoszczędzony), może wynieść co najwyżej 60.000—70.000 K, a nie 350.000 kor., jak dr. Gross liczy, boć przecie, pomijając posłów mieszkających we Wiedniu, połowa posłów oddalona jest od Wiednia o mil kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt, więc koszta ich podróży mogą wynosić po 20—100 kor., a druga połowa może sobie dopiero policzyć od 100—200 kor. Chyba, że pp. posłowie do kosztów podróży zaliczają wydatki na szampan i płeć piękną...

Jedna jest tylko dobra strona tej „uchwały“ pobierania dyet za darmo. Na zlocie sokolim w Pradze dr. Kramarz powiedział żartem: „oby wszyscy posłowie w parlamencie szli tak zgodnie, jak ci ćwiczący się na boisku“. Nie przypuszczał, że nadejdzie—i to prędko—chwila, która ziści jego marzenia. Bo w sprawie tej jałmużny czy łapówki dyetowej (nie wiem, jak to lepiej nazwać), okazała się taka jednomyślność, taka wzruszająca zgoda, jakiej przykładu nigdy nie było w parlamencie austryackim. Podali sobie ręce „wyzyskiwacze“ z „wyzyskiwanymi“, filosemici z antysemitami, reakcyoniści z socyalistami. Każdy wołał: „dla dobra narodu poświęcę się i wezmę te 1.500 kor., które mi się nie należą!“ W opozycyę zabawiło się tylko Koło polskie, ale była to opozycya bardzo delikatna, polegająca na tem jedynie, że Koło na prywatne posiedzenie, tyczące się dyet, nie wysłało swoich delegatów. Okazało tem, że ma trochę więcej wstydu od naszych ludowców i od innych nienaszych stronnictw, ale nie mniejszą ochotę na dyety, boć wiedziało dobrze, że rzecz i bez delegatów Koła uchwaloną zostanie. Sprawa ta charakteryzuje wybornie „nową“, „ludową“ Izbę i dlatego była warta, aby ją szerzej omówić.

I jeszcze jeden szczegół, charakteryzujący „nową“ Izbę. Dało jej życie hasło: precz z kuryami! precz z zastępstwem interesów warstw i kółek! I oto w „nowej“ Izbie utworzyły się już związki agraryuszów, przemysłowców, urzędników...—potworzyły się więc kurye. Ta ostatnia, urzędnicza, jest *haut nouveaute*! Do tej chwili ciągle wmawiano w „urzędników, że są obywatelami, że nie stanowią żadnej odrębnej kasty; oni sami chętnie podzielali tę opinię. Tymczasem w praktyce wyłączność ich z każdym dniem wzrasta, bo nawet w życiu towarzyskiem coraz więcej odgradzają się od innych kół inteligencyi, tworząc swoje własne... urzędnicze resursy.

Ale kiedy już mowa o stosunkach parlamentarnych, kronikarz „Nowości“ musi się pochwalić, że go przeczucie nie zawiodło, kiedy przed kilku miesiącami zapatrywał się sceptycznie na piękność „poślic“ finlandzkich. We francuskim „Journalu“ p. Ludwik Wandeau w swoich wrażeniach z pobytu w Finlandyi—tak między innemi wyraża się (podaję w streszczeniu) o „dziewiętnastu urzędowych politczkach“: „Deputatki są dumne ze swojej brzydoty; reklamują swe rysy niepiękne, jakoby program polityczny: są absolutnie, stanowczo, w najwyższym stopniu brzydkie... Dwie z najsłynniejszych wyglądają z oddalenia jak zapaśnicy cyrkowi, którzy z powodu otyłości musieli zrezygnować ze swej sztuki... Twarze nalane, niekształtne, nie przypominają żadnym rysem kobiecego wdzięku; ramiona olbrzymie, włosy krótkie. Inne mają uszy przypłaszczone, ostre brody, bezzębne usta, pożółkłe, kanciaste twarze, małe, mrugające oczka, których spojrzenie mrozi. Przerażająca kolekcya!“ Następnie Wandeau opisuje brzydki, dziwaczny strój tych parlamentarzystek. Potem chwali ich szczerość, gotów jest przyznać im wszystkie cnoty, ale — kończy — „przecież z tego powodu nie muszą jeszcze być tak strasznie brzydkie“.

Ciekawa rzecz, czy również „piękną kolekcyę“ przedstawiać będą przyszłe deputatki norweskie, które niedługo przyjdą na świat dzięki uchwale Stortingu, który obdarzył prawem czynnego i biernego wyboru wszystkie kobiety, mające 25 lat skończonych i posiadające dochód — wynoszący w miastach 400, a po wsiach 300 koron. W ten sposób równouprawnienie kobiet zdobyło sobie nową pozycyę. Dotychczas miały one prawo wyboru w Stanach Zjednoczonych, Australii, w niektórych Stanach Unii amerykańskiej (przeważnie prawo tylko czynne) i we Finlandyi. Maluczko, a może w Krakowie ujrzymy plakaty: „Wybierajcie tylko Dziendzierzyńską, bo jest to mąż niezłomnych zasad, wielkich zdolności i nieprzegadanej wymowy!“ Tylko, zdaje mi się, o ile znam austryackich parlamentarzystów, oprócz cenzusu wieku i majątku, ustanowią oni jeszcze cenzus urody. Nie można się temu dziwić — smutne doświadczenie Finlandyi musi być przestrogą i nauką.

Natomiast jest obawa, że ścieśnione zostaną prawa automobilistów. Naturalnie nie prawa wyborcze, ale jazdy. Pomimo zajęcia, jakie w pewnych kołach wzbudzają wyścigi Pekin-Paryż, opinia publiczna coraz groźniejszą zajmuje postawę wobec rycerzy benzyny. Ilość automobilowych wypadków wzrasta w sposób przerażający. W Niemczech w ciągu półrocza naliczono ich 2.290, z których zaledwie mała część skończyła się na popsuciu automobilu i przestrachu — a wypadków nieszczęśliwych (śmierci i pokaleczeń) było 1,570. To tylko w Niemczech, a ileż ich musiało być choćby w samej Francyi, gdzie sport automobilowy zaczyna graniczyć z szaleństwem.

Co prawda rozmaite sporty już się przejadają. U nas we Lwowie np. na Zjeździe lekarskim premiowano „zwycięzców w piłce nożnej“ i miano do nich wzruszające przemówienia, dowodząc, co za wielka idea każe podnosić nogę i podbijać nią piłkę — a tymczasem w Anglii, ojczyźnie tej zabawy, wzrasta przeciw niej opozycya. Statystyka bowiem, ta nieznośna statystyka, wykazuje, że i ta napozór niewinna zabawa, ma na swojem sumieniu ogromną liczbę nieszczęśliwych wypadków. Już przed kilku laty lekarze angielscy wystąpili przeciw piłce nożnej i wogóle przeciw nadużywaniom sportowym, twierdząc, że po wakacyach, które służą najwięcej kultowi sportu, zwiększa się ilość pacyentów na choroby piersiowe i gardlane.

Wspomniałem o Zjeździe lekarskim we Lwowie, ale, choć to „rzecz aktualna“, przechodzę nad nią do porządku dziennego ze względu na to, iż „Nowości“ poświęciły mu już sporo miejsca. Jedną tylko pozwolę sobie zrobić uwagę.

Bardzo, bardzo pięknie mówił dr. Kwaśnicki przy zamknięciu Zjazdu, ale w przemowie jego razi... bakcylus frazesowy. „Zdeptano nas w roku 1863, ale —mówił dr. K. — ale Matejko i Grottger zawołali: hola! nie zasiadajcie do stypy, Polska żyje! Również po r. 1870, kiedy Kain narodów zwyciężył i wszystko się przeciw nam sprzysiężyło, mistrz Henryk Sienkiewicz zawołał słyszanym na obu półkulach głosem: Hola! nie zasiadajcie do stypy, Polska żyje!

Otóż niżej niepodpisany ceni, uwielbia nawet niektórych mistrzów pendzla i pióra, wie, jak ich dzieła świadczą o kulturze narodu — ale na miłość boską, nie stawiajmy znów tak nisko narodu, abyśmy sądzili, że jakiś, choćby najpiękniejszy obraz lub poemat, ratuje nas od śmierci, od zapomnienia. Polska byłaby taką samą, jak jest Polską, choćby nie było Matejki i Grottgera — tak samoby żyła, choćby Sienkiewicz nie napisał Trylogii. Zaręczam.

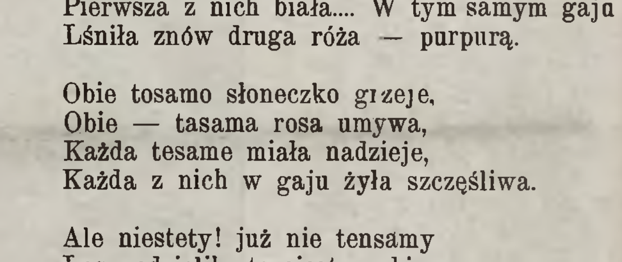
Róże.

Dwie ich zakwitło w jedną noc majową
Wybór mój padłby, nie wiem na którą?
Pierwsza z nich biała.... W tym samym gaju
Lśniła znów druga róża — purpurą.

Obie tosamo słoneczko grzeje,
Obie — tasama rosa umywa,
Każda tesame miała nadzieje,
Każda z nich w gaju żyła szczęśliwa.

Ale niestety! już nie tensamy
Los podzieliły te siostry obie:
Czerwona zwiędła na gorsie damy,
Biała skonała — w wieńcu na grobie.....

K. K.



Rozwód arcyksięcia.

Sprawa rozwodowa Leopolda Wölflinga, b. arcyksięcia Leopolda Ferdynanda, stała się po kilku miesiącach ciszy znowu głośną i znowu dała pismom codziennym temat do najrozmaitszych, mniej lub więcej interesujących rewelacyj. Rozpoczęło się od pogłoski o rzekomem tajemniczem zniknięciu Wilhelminy Wölflingowej, która do niedawna bawiła w Zurychu. Istotnie rozwiedziona małżonka b. arcyksięcia zniknęła z Zurychu, ale bynajmniej nie w tajemniczy sposób, lecz zupełnie jawnie, przeniosła się bowiem do Wiednia i zamieszkała u bliskich swych krewnych.

P. Adamowicz-Wölfling, niegdyś kapłanka lekkiej muzy, zmieniła się w przeciągu kilku lat do niepoznania. Spoważniała, nawet posmutniała — a z powodu ostatnich przejść postanowiła żyć zdala od świata i ludzi. W Wiedniu bawi z nią jej siostra starsza, p. Sestanowa, żona urzędnika z Gracu. Sprawozdawcy pism wiedeńskich, nie mogąc dostać się do samej Wölflingowej, interwiewowali bodaj jej siostrę. Twierdzi ona stanowczo, że proces rozwodowy był przeprowadzony nieformalnie i bez uwzględnienia zdania Wölflingowej. Nieprawdą ma być, co głosiły pisma wiedeńskie, iż Wilhelmina Wölflingowa jest wegetaryanką i członkiem związku ludzi natury. Przeciwnie — twierdzi p. Sestanowa — to mąż do tego ją nakłaniał. Skarżyła się dalej na to, że siostra przy rozłączeniu się z mężem nie otrzymała od niego żadnych alimentacyj ani zabezpieczenia na przyszłość, gdyż nie żądała tego w czasie procesu rozwodowego.

Szczegóły te, ogłaszane w dziennikach, wywołały polemikę i sprostowania ze strony adwokata dra Frischauera, prawnego zastępcy arcyksięcia. Przy tej sposobności dowiedziano się, że Leopold Wölfling przebywa obecnie w Paryżu. Wszelkie pogłoski, jakoby zamierzał uzyskać z powrotem prawa arcyksięcia, lub by zamierzał kandydować na tron macedoński, są — wedle zapewnień adwokata — niezgodne z prawdą. B. arcyksiążę zajmuje się w Paryżu nauką, szczególnie botaniką i matematyką — i o innej karyerze nie myśli.



Rozwód arcyksięcia: Leopold Wölfling.

Ku czci polskiego uczonego.

Miasteczko Pilzno w zachodniej Galicyi, szczycące się tem, że w jego murach ujrzał światło dzienne wielki uczony polski, Sebastyan Petrycy, postanowiło uczcić pamięć tego męża skromnym bodaj pomnikiem. Z inicyatywy ks. dr. Szczeklika zawiązał się komitet, zebrano drogą składek potrzebne fundusze, i w drugiej połowie lipca, gdy pomnik był gotów, odbyło się tam uroczyste jego odsłonięcie.

Sebastyan Petrycy, filozof i lekarz polski, należał do najsławniejszych uczonych w Polsce XVI wieku. Urodzony w Pilźnie, kształcił się w akademii krakowskiej, która w owym czasie cieszyła się wielką sławą poza granicami Polski. Na nauki do Krakowa przybywało wiele młodzieży z obcych

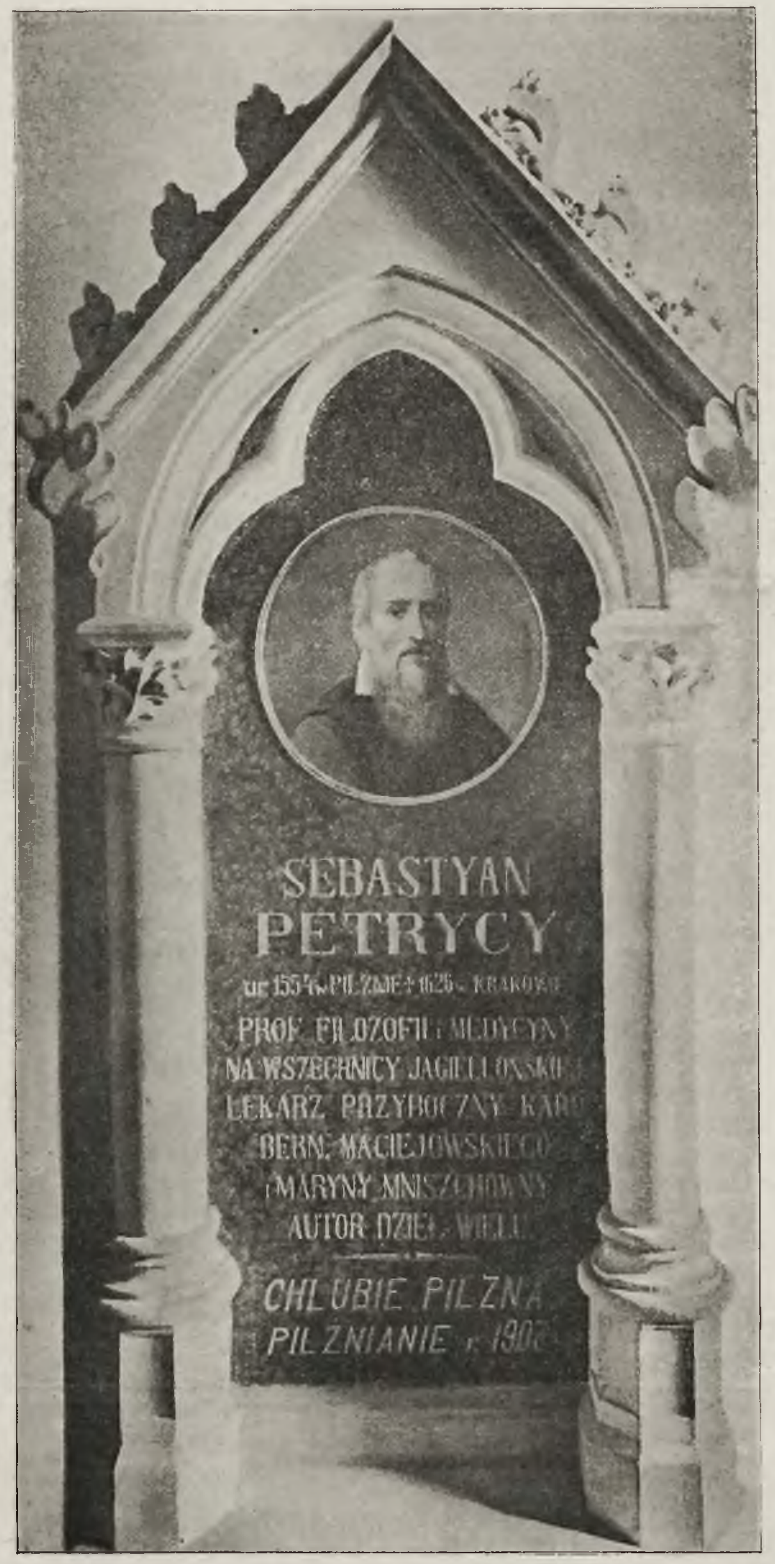


Rozwód arcyksięcia: Wilhelmina Adamowicz-Wölfling.



Nakł. W. Niegłosa w Pilźnie.

Ku czci polskiego uczonego: Zebranie uczestników uroczystości odsłonięcia pomnika Petrycego w Pilźnie przed gmachem magistratu.



Nakł. W. Niegłosa w Pilźnie.
Ku czci polskiego uczonego: Pomnik S. Petrycego w kościele w Pilźnie.

krajów, lecz między wszystkimi jaśniał nauką i zdolnościami Petrycy. Po zdobyciu tytułu doktora filozofii, powierzono mu zaraz katedrę tego przedmiotu, którą zajmował przez lat 7, kształcąc się jednocześnie w medycynie, która go taką sławą okryła, iż imię jego stało się głośnem na całym świecie. Z Krakowa wyjechał do Belgii, a potem do Włoch, gdzie pozyskał stopień doktora medycyny. Powołany znowu na tę katedrę do Krakowa, zyskał sobie wielki zastęp słuchaczy, których jednak musiał wkrótce opuścić, by zająć miejsce domowego lekarza biskupa Maciejowskiego, z którym wyjechał do Niemiec i Paryża, zdobywając sobie wszędzie niesłychane uznanie. Po powrocie został nadwornym lekarzem w Moskwie, z której powrócił do kraju, by umrzeć na ziemi ojczystej. Sławę zdobył sobie również i dziełami naukowemi, uznanemi przez świat cały, które dzisiaj nawet świadczą nam, jak w owym czasie wysoko stały nauki w Polsce, zarówno filozofia ścisła, jak medycyna.

Na cześć tego to zasłużonego uczonego polskiego urządzono w Pilźnie wielką uroczystość. W dniu uroczystości rano, zebrali się uczestnicy gremialnie przed gmachem magistratu, skąd w pochodzie ruszono do kościoła farnego. W uroczystości ku czci



Krwawe wypadki w Iwieńcu: Grupa ranionych: Z. Krupska, J. Cimachowicz, A. Hołubowicz, A. Murawska, E. Burak, J. Adamowicz, M. Cimachowicz i chłopak Mieszkuć. (Fot. L. Szczerba.)



Fot. p. L. Szczerba.
Krwawe wypadki w Iwieńcu: Miejsce, gdzie zabitą została Julia Niedźwiecka (X).

Petrycego wzięła udział cała prawie ludność Pilzna, prócz tego przybyła delegacya uniwersytetu Jagiellońskiego z Krakowa z dziekanem drem Kostaneckim na czele, a dalej cały szereg wybitnych ludzi, pochodzących z Pilzna, między tymi sędziwy poseł sejmowy Vayhinger.

Po nabożeństwie nastąpiło odsłonięcie pięknego pomnika, wmurowanego w ścianie kościoła, przyczem podniosłą, piękną mowę wygłosił ksiądz dr. Karol Szczeklik. Później udano się pochodem do sali rady gminnej, gdzie odbył się dalszy ciąg uroczystości. Tu między innymi przemawiał dziekan dr. Kostanecki.



Ku czci polskiego uczonego: Grupa Pilźnian, przybyłych na uroczystość odsłonięcia pomnika Petrycego w Pilźnie. W pierwszym rzędzie poseł Vayhinger (w kontuszu), obok ks. dr. Szczeklik.

Zakończeniem uroczystego obchodu było skromne śniadanie, urządzone dla przybyłych na odsłonięcie pomnika gości.

W numerze dzisiejszym zamieszczamy zdjęcie fotograficzne pomnika Petrycego, grupę Pilźnian, przybyłych na uroczystość, oraz zebranie uczestników uroczystości przed gmachem magistratu.

Krwawe wypadki w Iwieńcu.

Smutnem echem odbiły się po całym kraju wieści o krwawych wypadkach, których widownią stał się Iwieniec, małe miasteczko na Litwie. Postawienie krzyża i utrzymanie go na wybranem miejscu sprowadziło na biedną ludność iwieniecką pogrom, pozbawiający życia niewinne ofiary.

Przyczyna na pozór błaha, w skutkach swych okazała się straszną. W roku bieżącym miejcowi gospodarze w Iwieńcu postawili kilka krzyżów; w tej liczbie i na placu przed cerkwią, przerobioną po r. 1863 z katolickiego kościoła. Aby zaś uniknąć wszelkiego zatargu z władzami, wznieśli krzyż nie na miejscu starego, usuniętego w tym pamiętnym roku przez rząd, lecz cokolwiek opodal przy krzyżowaniu się dróg. Do ustawiających krzyż wychodził i paroch miejscowy, który uznawał miejsce to za najbardziej odpowiednie. I spokój jakiś czas trwał, aż naraz wezwano do policyi miejscowego proboszcza, ks. Szczerbę, by wytłómaczył się, jakiem „prawem“ stawiał krzyż, na co proboszcz odpowiedział, iż przyzwolenie swoje dawał paroch prawosławny. To jednak nie zadowoliło władzy rządowej, która zawezwała do siebie kilka osób z ludności iwienieckiej, a mianowicie Juliannę i Stanisławę Cimochowiczównę, Burakową, Mikucką, starostę mieszczańskiego Waleryana Buraka i Felicyana Kruhlińskiego i skazała ich na 1 rb. grzywny, za „nieprawne“ postawienie krzyża. Zdawało się, iż cała sprawa zakończy się tem zasądzeniem, tymczasem 3 lipca zjawił się stanowy z kilkoma strażnikami, otoczono krzyż, przyczem zdjęto czapki i po krótkiej modlitwie wykopano krzyż, który przenieśli na skraj katolickiego cmentarza.

Czyn ten oburzył całą ludność, która składała się wtedy z samych kobiet, bo mężczyźni wyszli na robotę. Kobiety też uradziły przenieść krzyż na poprzednie miejsce, uważając, iż po zapłaceniu grzywny policya nie ma prawa go ruszać. Zamiaru swego dzielne kobiety natychmiast dokonały, lecz widząc zbliżającą się policyę chciały na razie krzyż ukryć, nie zdołały jednak, bo strażnicy napadli je, siekąc nahajkami. Krewkie niewiasty poczęły atak ten odpierać również białą bronią, miotłami, stołkami kuchennemi i piaskiem, zasypując oczy napadającej policyi, a posługiwano się także kamieniami, od których kilku strażników doznało lekkich obrażeń. Wtedy rozjątrzona policya poczęła strzelać. Padło około 50 strzałów; urjadnik miejscowy, najbardziej wojowniczy, wystrzelił kilka razy, zabijając na miejscu jedną z uciekających kobiet, mianowicie Julię Niedźwiecką, lat 67, oprócz niej zaległo miejsce walki kilka rannych kobiet.



Andrzej Lelewicz.

Nazajutrz zjawił się w Iwieńcu wiceprokurator, sędzia śledczy, doktor, pomocnik assesora i zaczęto śledztwo, lecz wezwano kilka zaledwie kobiet, a zgłaszających się świadków wprost nie dopuszczano do sali badań, natomiast włościanina Stanisława Buraka, przed którego chatą to zajście miało miejsce, odstawiono do więzienia w Mińsku.

Ciało zabitej Julii Niedźwieckiej na wstawiennictwo starosty mieszczańskiego, Michała Łotysza, wydano rodzinie. Pogrzeb tej ofiary odbył się wspaniale przy nader licznym udziale publiczności. Trumnę pokryto wieńcami z napisem: „poległej za wiarę“.

Ryciny nasze przedstawiają: grupę osób ranionych w Iwieńcu, oraz miejsce, na którem zabitą została Julia Niedzwiecka.

Andrzej Lelewicz.

Sympatyę, jaką cieszy się od wielu lat u publiczności krakowskiej i lwowskiej, zdobył sobie p. Lelewicz, popularnie „Lelusiem“ zwany, szczerym, naturalnym komizmem, humorem, który go nigdy, nie tylko na scenie, ale i w życiu nie opuszcza, a przytem wielką dystynkcyą i wytwornością, dzięki czemu z ust jego nie słyszy się nigdy trywialnych dowcipów, oklaskiwanych chyba przez galerye.

Po krótkiej „praktyce“ na deskach kilku teatrów prowincyonalnych, po kilkoletniej włóczędze w charakterze monologisty i komika, „ustatkował się“ Lelewicz, obejmując w teatrze miejskim we Lwowie stanowisko reżysera i artysty operetki. W dziale tym jest Lelewicz wprost nieocenionym, niezrównanym. Cały szereg postaci, które p. Lelewicz w czasie swej działalności w operetce lwowskiej kreował, zapewniły mu też w gronie amatorów lekkiej muzyki — a jest ich wszędzie bardzo dużo — ogromną popularność i wielką sławę. A prawdziwa rozpacz ogarnęła ich, kiedy p. Lelewicz z początkiem ostatniego sezonu opuścił na jakiś czas scenę lwowską i pojechał znowu w świat ze swym kuferkiem i swymi monologami.

Ostatniem, „epokowem“ w jego karyerze reżyserskiej dziełem jest wystawienie „Wesołej wdówki“; jak ona wystawiona, powtarzać zbyteczna, świadczy o tem najlepiej liczba przedstawień we Lwowie i w Krakowie. W operetce tej występuje też p. Lelewicz jako artysta, a kreowaną tam postać posła czarnogórskiego w Paryżu, zaliczyć może i powinien do swych najlepszych.

Ulubioną rolą p. Lelewicza jest sympatyczny Wolf Beer Pfefferkorn, handlarz od wszystkiego, nawet od cebuli, jedna z najważniejszych postaci w operetce Lehara „Druciarz“. Ceniony artysta wystąpi w tej roli w sobotę; przedstawienie to przeznaczone jest na benefis p. Lelewicza. Że teatr w tym dniu będzie szczelnie zapełnionym, wątpić nie podobna. Atrakcyą bowiem jest nie tylko melodyjna, milutka muzyka tej operetki, ale i Wolf Pfefferkorn i jego „kuń“.

Z lwowskiego bruku.

(Afera szpiegowska. — Hochsztapler, a władze. — Bajka o kompanii, która się rozleciała. — Lwowskie erotomanki. — Sensacya w kawiarni. — Pikantna mężatka i jej strzelający mąż.— Za wcześnie).

Lwów obecnie ma swoją aferę szpiegowską, która nam zastępuje wszystkie węże morskie. Inna rzecz, że ten szpieg nie był żadnym szpiegiem, a tylko bardzo marnym oszustem i że dzięki jemu kilku urzędników policyi o mało co nie doczekało się orderu, ale afera jest aferą i cały Lwów był i jest jeszcze poruszony kolejami eleganckiego łotra, który raz nazywał się „hr. Zielińskim“, raz Kryłowem, raz znów Kotlarewiczem a może jeszcze inaczej. Że tyle „władz“ galicyjskich przez tak długi czas dało się sprytnemu szubrawcowi tak długo wodzić za nos, to nikogo nie dziwi, kto zna spryt i rozum naszych władz, dziwi nas raczej to, że hr. Zieliński tak prędko wpadł w ręce naszej karzącej sprawiedliwości i to nie w przymiocie pospolitego oszusta, ale nawet w charakterze „dyplomaty“, bo szpiega. Hrabia Zieliński opowiadał niestworzone rzeczy, a tu wszystko go słuchało, roztwierało oczy ze zdziwienia i nietylko wierzono mu, ale nawet robiono, co kazał.

Między innymi opowiadał szelma, że był oficerem i komendantem kompanii wojska a mając tam strzelać do swoich, przeszedł przez granicę i w Galicyi rozpłynęła mu się jego kompania. Nikt tych żołnierzy nie widział ani o nich nie słyszał, ale rozsypali mu się jakoś tak niby mgła, niby groch, niby coś takiego.

Ta blaga Kotlarewicza, która znalazła wiarę u galicyjskich mędrców, przypomina sławną anegdotę o trzech blagierach niemieckich, którzy prześcigali się w kłamstwach. Pierwszy opowiadał, że jest agentem firmy tak wielkiej, że gdy raz szef polecił wszystkim buchalterom nie dawać kropek nad „i“, to w jednym roku na samym atramencie firma zaoszczędziła sto tysięcy koron. Drugi opowiadał, że jego firma całymi okrętami sprowadza aż z Sahary piasek do posypywania listów a onegdaj z piasku wyskoczyły trzy żywe lwy, które gdzieś znikły w olbrzymich ubikacyach kancelaryjnych i dotąd ich nie znaleziono. Wojsko hr. Zielińskiego także gdzieś znikło, jak owe trzy lwy w kancelaryi olbrzymiej firmy i choć nikt tego wojska nie widział, przecież władze uwierzyły „hrabiemu“, który nawet podobno w Krakowie wywołał swojemi opowiadaniami sensacyę.

Lwowska prasa zrobiła z tego olbrzymią aferę szpiegowską, od której trzęsie się monarchia w posadach, no i — czytelnicy z ciekawości. Kobiety interesują się najwięcej erotyczną stroną afery, bo ten hochsztapler potrafił nawet w kryminale będąc, omotać w swoje sidła żonę klucznika aresztów, która w nim się zakochała z litości i dopomogła mu w swoim czasie do ucieczki z więzienia. Panie lwowskie bardzo chwalą tę ofiarność i dzielność rozamorowanej pani zarządczyni klucza kryminalnego i z tego wyciągają słuszny zresztą wniosek, że kobietom powinno się powierzać odpowiedzialne urzędy. Pani Gembarska, (tak się nazywa żona klucznika) próbowała nawet otruć się, gdy cała sprawa wyszła na jaw, a to jest przecie ogromnie ważny szczegół dla zawodowych erotomanek. I są już panie we Lwowie, które dałyby bardzo wiele za to, żeby módz bodaj oglądnąć bohaterkę i kochankę dyplomatycznego szpiega, który swoją drogą umiał tylko wyszpiegować, gdzie kogo można naciągnąć na gotówkę, choćby tym naciągniętym miała być c. k. władza czujna i mądra, bo policyjna.

Inną sensacyę, także na tle erotycznem, opowiadano sobie onegdaj w kawiarni X. o pewnej bywającej w tej kawiarni mężatce pikantnej i pięknej, a bardzo, bardzo sprytnej. Pochodzenia semickiego, była ongiś kasyerką kawiarnianą, potem wyszła za mąż, potem obdarowała męża sześcioletnią odrazu córeczką, potem synkiem ośmioletnim, a wreszcie jeszcze jakąś tam niespodzianką. Mężatką jest od roku i bywając w kawiarni robi tam codziennie znajomości z różnymi panami, podczas gdy mąż w kawiarni rżnie w karty. Onegdaj udało się jednemu z nowych znajomych pikantnej mężatki, wyciągnąć ją na randkę do ogrodu jezuickiego, gdzie pociemku gruchali jak para kanarków herceńskich. Nagle zjawia się mąż i wyciąga z kieszeni rewolwer. Chce koniecznie zastrzelić uwodziciela. Ale uwodziciel nawet nie zbladł. Pikantna mężatka, udając, że zbladła, szepnęła mu na ucho:

— Wie pan, to karciarz, pewnie zgrał się co do centa, daj mu pan 200 koron, to się ustąpi...

A mąż czekał z naładowanym rewolwerem jakby się namyślał, czy ma strzelać, czy nie strzelać.

— Nie ma durnych — powiada uwodziciel — ja tak drogo nie płacę, ja mu mogę dać dziesięć reńskich, aby sobie poszedł i nie robił hałasów!

I wziął mąż trzydzieści koron wraz z żoną, a odchodząc z miejsca afery, długo nie mógł przyjść do słowa.... ze złości. Aż dopiero na ulicy Jagiellońskiej otworzył zaciśnięte zęby i wyrzekł słowa:

— Przecież mówiłaś, że będzie można wziąć setkę.

Żona odwróciła się i rozglądnęła, czy jej kto nie podsłuchuje, a potem rzekła cicho:

— Bałwanie jeden! przyszedłeś za wcześnie!

Kl.

NA WIEŻY.

Powieść na tle życia paryskiego przez

Fortuné du Boisgobey.

Tłómaczył z języka francuskiego K. W.

9 Ciąg dalszy.

Grupa, otaczająca hrabiego Zweimarka, pospieszyła do stolików, a za nią i Malverne, chcąc grę obserwować. Saint-Briac chciał iść za przyjacielem, gdy ku największemu zdumieniu swemu spostrzegł, iż Zweimark uśmiecha się do niego i zbliża, zastępując mu drogę. Saint-Briac nie mógł uniknąć spotkania, zatrzymał się i spojrzał na Zweimarka z zimną obojętnością.

— Nie masz pan pojęcia, jak mnie to cieszy, że tu pana widzę — rzekł Zweimark do kapitana.

Saint-Briac prawdziwie osłupiał. Z hrabią Zweimarkiem zaledwie kilka słów w klubie wymienił, więc takie poufałe i przyjacielskie zachowanie się hrabiego było dlań najzupełniejszą niespodzianką, a uśmiech, z jakim Zweimark przemawiał, wydał się kapitanowi szyderczym i obrażającym. Zimno i odstręczająco odpowiedział:

— Nic w tem dziwnego, że mnie pan tu widzi, wszakże bywam każdego wieczoru.

— Ale wczoraj pana nie było i dziś nie spodziewałem się pana tu zastać — rzekł hrabia, uśmiechając się ponownie.

— Bardzo mnie to zastanawia, czem sobie zasłużyłem na takie względy pańskie, że pan tak bardzo zajmuje się moją osobą. Możnaby się tego spodziewać jedynie od bardzo ścisłych przyjaciół, a ja nie zaskarbiłem sobie wcale tego szczęścia, aby mieć zaszczyt zwać pana swoim przyjacielem. Jest moim zwyczajem żądać od ludzi zupełnie mi obcych, ażeby się mojemi sprawami nie zajmowali.

Tyle było poczucia godności osobistej i tyle stanowczości w słowach Saint-Briaca, że hrabia spoważniał i udając wielką uprzejmość, rzekł z przymileniem:

— Proszę mnie dobrze zrozumieć. Ani natrętnym być nie chciałem, ani też nie miałem najmniejszego zamiaru urazić pana. Przypadkowo byłem świadkiem pańskiej przygody wczorajszej. Przechodząc koło kościoła Notre-Dame, spostrzegłem tłum ludzi, a wśród tłumu pana, idącego w towarzystwie policyantów. Przyznasz pan, że było to widowisko dla mnie zupełnie niespodziewane, a nie mniej i przykre, gdy pomyślałem, że członek klubu, do którego i ja należę, tak niemiłej doznał przygody.

— Tak, panie; miałem istotnie przygodę niemiłą. Policya dopuściła się karygodnej pomyłki i wzięła mnie, zamiast jakiegoś mordercy, który zamordował kobietę, zrzucając ją z wieży. Jak pan widzi, nie zatrzymano mnie w więzieniu, skoro mnie tylko sędzia śledczy zobaczył i poznał.

— Pański przyjaciel, pan Malverne.

— Więc i to panu wiadomo?

— Tak panie kapitanie.

— Muszę pana ponownie prosić, a nawet domagać się tego, abyś pan przestał zajmować się moimi stosunkami. Poczytuję to za rzecz tak niewłaściwą, iż nie mogę się powstrzymać od tonu stanowczego, w jakim do pana przemawiam.

— Przykrość, której pan wczoraj doznał, tłómaczy pańską irytacyę, więc nie obrażam się nią wcale, lecz przeciwnie: poczuwam się do obowiązku usprawiedliwić się przed panem. Nadmieniając panu o tem, chciałem poprostu zwrócić uwagę pańską, że przygoda, której pan doznał, miała świadków, więc gdyby w klubie wieść się o tem rozeszła, należy panu na to być przygotowanym.

W tej chwili pojawił się Malverne. Szukał kapitana. Zadziwił się niemało, zastawszy go w rozmowie z Zweimarkiem.

— Ten pan — rzekł kapitan, wskazując na hrabiego — okazuje mi zbyt wiele uprzejmości, interesując się moją osobą. Opowiadał mi właśnie, że widział wczoraj, jak mnie policya ujęła.

— Ale pan kapitan wie — dodał — w jakim celu o tem mówiłem. Wybaczy pan, że się sam przedstawię i usprawiedliwię. Hrabia Zweimark z Berlina. Pragnąłem przedstawić się panu w klubie, panie Malverne, ale tak rzadko pan tu bywa, że nie nastręczyła mi się do tego wcześniej sposobność. Proszę wybaczyć, że zaraz na wstępie znajomości zwracam się do pana z prośbą, aby pan zechciał łaskawie wyjaśnić mi, jakim sposobem mogła policya tak wielkiej dopuścić się pomyłki.

— Tego panu wyjaśnić nie umiem.

— Jeżeli tam był zbrodniarz, to przecież można go było ująć.

— Pojmie pan, że stanowisko moje urzędowe nie pozwala mi roztrząsać tej sprawy poza granicami urzędowania.

— Możebym mógł się tego dowiedzieć, czy policya wpadła na trop właściwego zbrodniarza?

— Do tej chwili jeszcze nie.

— A, to prawdziwie ubolewania godne. Straszna rzecz, że taka zbrodnia do tej chwili pokryta tajemnicą. Czy też zwłoki ofiary rozpoznano?

— Do tej chwili nie znalazł się nikt, ktoby znał ofiarę. Prawdopodobnie jestto cudzoziemka, zupełnie nieznana w Paryżu.

— Zdjęty ciekawością, byłem w mordze i przypatrywałem się tej strasznie zmiażdżonej ofierze. Sądząc z ubrania, można stanowczo twierdzić, że to nie Paryżanka. Być może, że to jakaś nieszczęśliwa z mojej ojczyzny. Jeżeli pan pozwoli, panie Malverne, będę się starał dowiadywać między znajomymi rodakami, czy ta ofiara nie pochodzi z Niemiec. Jeżelibym się czegoś dowiedział, natychmiast panu doniosę. Czy pan pozwala?

— Sędzia śledczy nie może zabraniać nikomu czynienia wyjaśnień, udzielania spostrzeżeń w sprawach, będących przedmiotem dochodzenia. Bardzo chętnie będę korzystał z uprzejmości pańskiej.

— Panowie wybaczą, że się polecę łaskawej pamięci. Muszę spieszyć do stolika. Od miesiąca prześladuje mnie niemiłosiernie szczęście, że wciąż wygrywam. Nawet szczęście uprzykrzyć się może. Chciałbym dziś koniecznie przegrać, aby moi partnerzy mieli należyty rewanż.

Hr. Zweimark ukłonił się i odszedł do przyległego pokoju.

— Dziwny człowiek — szepnął Saint-Briac.

— Jakie to ciekawe, że on właśnie był koło Notre-Dame, kiedy ciebie ujęto — mówił Malverne, zamyślając się. — Człowiek spędzający całe noce przy zielonym stoliku, nie krąży w dzień bez celu po ulicach, a zwłasza tam, gdzie go nic pociągać nie może, gdzie zwykle spotyka się szary tłum miejski.

— Może przypadek zrządził, że się tam znalazł?

— Zapewne, można wiele składać na karb przypadku, ale rozum każe liczyć się z normalnym, czy naturalnym tokiem rzeczy. W tej części miasta i o tej porze, nie bywają ludzie z tego towarzystwa, do którego Zweimark należy. Widocznie był tam w jakimś celu rozmyślnie.

— Przecież nie przypuszczasz, że to morderca owej nieszczęśliwej?

— Owszem, przypuszczam.

— Gdyby był owym mordercą, nie nasuwałby się przecież ani mnie z owem opowiadaniem, ani tobie ze znajomością.

— Właśnie to budzi podejrzenie. Zaczepił cię raz dlatego, aby ci okazać, że cię poniekąd ma w rękach i może kompromitować, a powtóre, aby zyskać sposobność poznania się ze mną.

— Tego to już nie rozumiem.

— Ależ jasne! Zapewne nietylko przedemną, ale i przed innymi wyraziłeś się o nim niekorzystnie. Ponieważ ma sumienie nieczyste, więc się z tem liczy, co o nim mówią, a że niezawodnie dowiedział się od kogoś, jaką masz o nim opinię, chciał cię zniewolić do milczenia, mówiąc o aresztowaniu i dając przez to do poznania, że ma bicz na ciebie.

— Ale po cóż lezie w ręce sędziemu śledczemu?

— Aby zmylić tajną policyę. Zdaje mu się, że policya tajna, widząc go w rozmowie ze mną, ocierającego się o mnie, zaniecha się nim zajmować. A również naiwnie myśli, że dam się zbić z tropu i uwierzę w to, że człowiek, szukający znajomości ze sędzią śledczym, nie może być zbrodniarzem. Jest to wyrachowanie dość zuchwale pomyślane, ale nie bardzo zręczne. Widzę z tego, że to człowiek, któremu brutalna bezczelność nie pozwala być należycie przebiegłym..... No, ale dość tego. Pójdę do domu, bo niespokojny jestem o żonę. Czy zostaniesz tu jeszcze?

— Zostanę, żeby tego Prusaka obserwować. Dziwna jakaś opanowała mnie żądza policyjna, żeby go śledzić, a zresztą po doznanych wrażeniach potrzeba mi rozrywki.

Pożegnali się. Saint-Briac smutny był, rozstrojony. Machinalnie zbliżył się do stolika, przy którym siedział hr. Zweimark. I tym razem służyło mu szczęście; wygrywał wciąż. Gra się przeciągała, kapitan zaczął się nudzić, więc wyszedł z klubu. Na schodach spotkał tego samego człowieka, z którym przed kilku godzinami hr. Zweimark na ulicy zagadkową odbywał konferencyę. Człowiek rozmawiał teraz ze służącym klubu i wręczał mu list. Saint-Briac domyślał się, że to zapewne do hrabiego. Nasunęło mu się też na myśl, że może hrabia wyjdzie z klubu, list ten otrzymawszy; dlatego postąpił kilkanaście kroków i stanął w cieniu, na skręcie ulicy.

Po upływie kilkunastu minut spostrzegł hrabiego, w towarzystwie owego zagadkowego człowieka. Szli krokiem przyspieszonym. Saint-Briac pomyślał, że jakieś ważne sprawy być muszą, skoro hrabia porzucił grę zyskowną i to go jeszcze bardziej podnieciło do śledzenia hrabiego. Zdumiał się też prawdziwie, gdy spostrzegł, że hrabia nie wsiada do swego własnego powozu, czekającego przed klubem, jeno bierze fiakra i rozkazuje mu jechać prędko. Ta wycieczka fiakrem, w towarzystwie podejrzanego człowieka, nasunęła kapitanowi dość fantastyczne przypuszczenia. Bierze też fiakra i każe mu jechać za tamtym.

Fiakier hrabiego skierował się ku polom Elizejskim, a potem skręcił w ulicę Marboeuf i tu się zatrzymał. Kapitan kazał stanąć, mogąc na zakręcie dalsze czynić obserwacye. Towarzysz hrabiego wysiadł, fiakrowi zapłacił i szedł dalej pieszo. Kapitan był pewien, że hrabia pozostał w powozie i teraz pewnie do klubu powróci. Jakże się zdziwił, zobaczywszy, że fiakier wracał pusty. Oczywiście hrabia gdzieś po drodze niespostrzeżenie wyskoczył.

To jeszcze bardziej podnieciło fantastyczne przypuszczenia kapitana. Zaczął sobie wyobrażać, że hrabia Zweimark jest naczelnikiem jakieś bandy rzezimieszków, udającym wielkiego pana. Dziwną miał do tego człowieka antypatyę; wzmogła się ona wskutek owej rozmowy w klubie. Zniknięcie hrabiego rozdrażniło go. Kazał się zawieść do kawiarni, w której się spotykał ze znajomymi. Nie zastał dziś żadnego. Przepatrzył dzienniki, zabawił z pół godziny i wrócił do domu.

Jakież było jego zdziwienie, gdy mu służący wręczył list, przed kwadransem przyniesiony. Rozerwał szybko kowertę i czytał:

„Panie! Spostrzegam, że pan nie zrozumiał moich intencyj. To, o czem mówiłem z Panem w klubie, było przestrogą. Zajmujesz się pan moją osobą bardzo żywo, a ja tego nie lubię. Wydajesz pan o mnie opinię uwłaczającą; mógłbym za to pociągnąć pana do odpowiedzialności. Ja nie lękam się nikogo i niczego, więc pan nie możesz mi w niczem zaszkodzić, natomiast ja mogę podać panu Malverne adres tej pani, z którą pan byłeś na wieży. Teraz już ostrzeżenie zupełnie wyraźne. Wystarczy zapewne, aby pana zniechęcić do jeżdżenia za mną, do podpatrywania tego, co czynię“.

List był bez podpisu, ale nie ulegało wątpliwości, że pochodził od Zweimarka, zwłaszcza że przyniósł go służący z klubu i nie taił, że wysłany został przez „pruskiego“ hrabiego.

Saint-Briac zakipiał wściekłością.

— Los Odety na łasce tego nikczemnika! — szepnął: — Ja go muszę zabić.

Kapitan spędził bezsennie noc drugą.

Miotała nim rozpacz. Co czynić? Honor Odety, jej spokój, jej szczęście, może nawet jej życie, na łasce tego nikczemnika. Przeklinał sam siebie, gardził sobą, sięgał po rewolwer, aby się zabić. Ale czy śmiercią swoją okupi milczenie hrabiego? Zemsta w nim kipieć zaczęła. Zemścić się i zabić Zweimarka! Ale jak? Morderstwa przecież nie popełni, na pojedynek go wyzwać nie ma powodu. Możeby go wyszukał, stworzył, ale i to nie zabezpieczy Odety. Wyzwany, może bodaj animowym listem zdradzić rzecz przed Malvernem!

Czemu on nie stłumił tej miłości? Czemu? zadawał sobie pytanie i szarpał sobie włosy i uderzał po głowie. Kochali się od lat młodziutkich. Ojciec Odety nie chciał wydać córki za oficera, ojciec Saint-Briaca nie pozwalał, aby syn zmienił zawód. Saint-Briac nie mógł obalić przeszkód, postanowił stłumić w sobie miłość, nie oświadczył się wcale, gdy został oficerem, przeniósł się do garnizonu na kraniec Francyi. Odeta myślała, że ją kochać przestał, że o niej zapomniał. Oddała rękę Malvernowi.

Wkrótce potem umarł ojciec Saint-Briaca; zostawił majątek jedynemu synowi. Jako kapitan porzucił wojsko i objął administracyę dziedzictwa. Musiał osiąść w Paryżu. Spotkali się z dawnym przyjacielem Malverne. Zaprosił go do siebie, zapraszał wciąż, bo kochał go jak brata. Saint-Briac przyjmował zaproszenia, bywał, a miłość dawna odżyła w obojgu. Nie przyznawali się do tego, nie mówili o tem, a jednak czuli, że on zdradza przyjaciela, ona męża.

(Ciąg dalszy nastąpi).

K. WILCZKOWSKI.

Jednemu szydła gola, drugiemu brzytwy nie chca.

4 HUMORESKA (Dokończenie).

Dozorczyni Malwiny, mistress Luiza Kentley (gdyż porzucona przez męża musiała wrócić do dawnego zajęcia), była ze swej pacyentki bardzo zadowoloną. Strzycka wpadła w apatyę, chodziła bezmyślnie po szpitalnym ogrodzie i modliła się, na wszelkie zaś zapytania o swej przeszłości nie odpowiadała. Mistress Luiza, chcąc ją ująć, poprosiła ją pewnego razu do swego pokoju na herbatę.

Gdy Strzycka weszła, rzucił się jej w oczy stojący na biurku portret... Zenona.

— Skąd pani masz portret mego męża?! — krzyknęła całkiem niespodzianie do dozorczyni i chwyciła za ramki.

— Ależ to jest mój mąż — rzekła łagodnie mistress Luiza.

Strzycka rzuciła się ku niej.

— Co, zwaryowałaś? Twój mąż? A, to tyś go sobie przywłaszczyła? tyś mi męża odebrała?...

Mistress Luiza przypuszczając, że chora dostała ataku furyi, a wiedząc z doświadczenia, że taktyka lekarska nakazuje wówczas odwrót, dyskretnie usunęła się z pokoju, zamknąwszy za sobą drzwi. Za chwilę dwóch silnych posługaczy przeprowadziło Strzycką do osobnej, materacowanej celi...

. . . .

Stare przysłowie polskie mówi, że gdzie dyabeł nie może, tam babę pośle, przekonywujące zaś tego dowody miał odczuć w kilka dni później Strzycki-Kentley.

Mistress Luiza po głębszej rozwadze, doszła do przekonania, że zajść musiało jakieś nieporozumienie. Udała się więc do celi, w której zamknięto Strzycką, a po godzinie rozmowy wyszły z niej obie z zaczerwienionemi od płaczu oczami, trzymając się za ręce. Po krótkiej rozmowie z doktorem pojechały szpitalnym powozem niby na spacer, a w rzeczy samej w celu odszukania owego kuzynka, młodego prawnika...

. . . .

Zasępiony siedział Strzycki-Kentley w pokoiku swym na 12-em piętrze, jednej z kamienic przy Milwauke-Street. Szczupłe fundusze wyczerpywały się powoli, zajęcia zaś znaleść nie mógł. Trudno było pójść za prostego robotnika do fabryki, miejsca zaś clurc'u nie chciano mu powieżyć z powodu niedostatecznej znajomości angielskiego.

Po spotkaniu Malwiny nie wychodził nawet na ulicę, chyba wieczorem. Bał się zetknięcia z którąkolwiek z żon. Smutna to rzeczywistość, mieć dwie żony, zwłaszcza nie wrogo usposobione. Wolałbym mieć jedną, lecz taką, którąby mnie unikała, myślał nieraz. Chyba znów do Europy drapnę!...

Wtem ktoś zapukał.

Drzwi otworzyły się i do pokoju weszła Strzycka w towarzystwie kuzyna i dawnej Luizy Rockplayt, obecnej pani Kentley.

Przerażonemu widokiem obu żon naraz Strzyckiemu, wydało się, że usuwa się podłoga z pod nóg i dałby wiele, żeby to było rzeczywistością. Stał z bezradnie opuszczonemi rękami.

— Panie — zaczęła pierwsza mistress Luiza — wytłómacz nam pan, jak to można być jednocześnie Kentley'em, a według słów obecnej tu żony pańskiej, Strzyckim?

— Bo widzi pani... ja... to... właściwie chciałem powiedzieć... nie ja, a Kentley, ale to nie Kentley, tylko ja...

— Zrozumieć z tego nic nie jesteśmy w stanie, więc też zostawimy pana, panie Strzycki, albo jak wolisz mr. Kentley z pierwszą żoną pańską panią Strzycką, my zaś, to jest ja i kuzyn pańskiej żony wyjdziemy, a spotkamy się o 8-ej wieczorem w restauracyi „Simpson“, na Washington-Street, gdzie razem zjemy obiad i naradzimy się, co dalej czynić. Lecz niech go pani pilnuje, by się nie ulotnił i znów się po raz trzeci nie ożenił, zmieniwszy poprzednio nazwisko!...

. . . .

Gdy Strzyccy wkroczyli do głównej sali restauracyi „Simpson“, zastali tam już przy jednym ze stolików mistress Luizę z kuzynkiem Strzyckiej. Te kilka godzin przepędzone razem, zbliżyły ich z sobą i rozmawiali, jak dobrzy, starzy znajomi. Wkrótce podano wykwintny obiad. Mistress Luiza wciąż coś szeptała do ucha Strzyckiej, a gdy podano po deserze szampańskie, rzekła:

— Jak wynikła cała ta historya, każdy z nas, zdaje się, już wie, lub się domyśla. Ale to, co wie, niech zachowa wyłącznie dla siebie. Dość, że dzięki nieszczęsnemu Kentley'owi pani Strzycka odzyskała męża, do którego ja żadnych praw nie roszczę, bo przecież mężem mym w całem słowa tego znaczeniu jeszcze nie był...

— Kiedyż ja, jako Strzycki umarłem, a żyję jako Kentley...

— Nie pańska to rzecz — przerwała mu mistress Luiza. Przywróceniem pana do życia zajmie się obecny mój narzeczony — dodała, wskazując wzrokiem na kuzyna Strzyckiej — który jednocześnie wyrobi mi rozwód z panem i wywindykuje spadek po Richardzie Kertley'u, gdyż właściwy jego spadkobierca, a mój niedoszły właściwy mąż, kilka dni temu, podczas karkołomnej jazdy na automobilu, kark skręcił. Powtórzcie więc sobie państwo tu w New-Yorku miodowe miesiące, a gdy ukończymy wszystkie formalności, odwieziemy was, udając się w poślubną podróż do Europy...

— Tak, panie — potwierdził kuzynek Strzyckiej — my, (tu stuknął się w okolicę żołądka), adwokaci, wszystko możemy: z żywego zrobić umarłego, a z umarłego żywego... Główna rzecz honoraryum!...

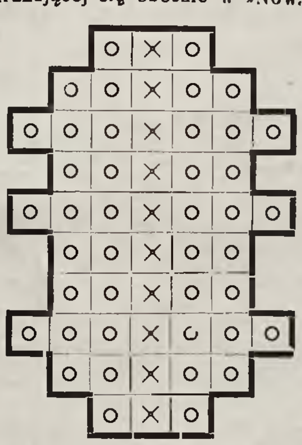
KONIEC.

Zagadki do nagrody

Logogryf.

Ułożył E. B. z Krakowa.

Kółka i krzyżyki zastąpić literami w ten sposób, aby litery zastępujące krzyżyki, czytane w pionowym kierunku, utworzyły tytuł powieści drukującej się obecnie w »Now. Illustrowanych«.

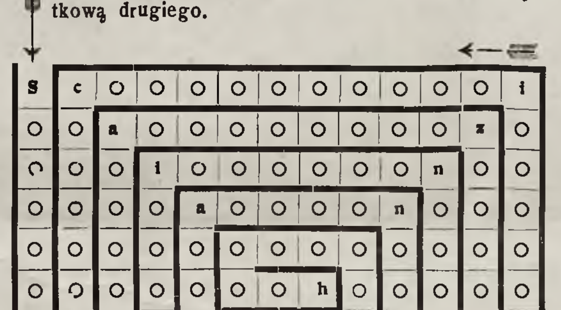


Znaczenie wyrazów: 1. Zaimek. 2. Inaczej pensya. 3. Stacya kolejowa w pobliżu Krakowa. 4. Imię żeńskie. 5. Dwie rzeki syberyjskie. 6. Owoc pewnego gatunku palm. 7. Rzeka w Austryi. 8. Miejscowość kuracyjna w Galicyi. 9. Okres czasu. 10. Roślina pożyteczna.

Zagadka z literatury.

Ułożył A. Rotter ze Stanisławowa.

Litery podkreślone są podane — reszta do odgadnięcie. Litera końcowa jednego słowa, jest zarazem początkową drugiego.



Znaczenie wyrazów: 1. Nazwisko współczesnego powieściopisarza polskiego. 2. Nazwisko i imię autora poematu Przenajświętsza Rodzina. 3. Tytuł poematu Juliusza Słowackiego. 4. Tytuł dramatu i nazwisko autora tegoż (polaka, przyjaciela Mickiewicza). 5. Nazwisko powieściopisarza polskiego — autora »Wernyhory«. 6. Nazwisko i imię słynnego pisarza dramatycznego szwedzkiego. 7. Nazwisko polskiego pisarza historycznego. 8. Tytuł utworu poetycznego Syrokomli. 9. Tytuł ballady Mickiewicza. 10. Nazwisko i imię polskiego poety. 11. Tytuł utworu poetycznego Ujejskiego. 12. Tytuł komedyi Władysława Okońskiego. 13. Tytuł utworu greckiego poety Homera. 14. Tytuł powieści historycznej Krasińskiego. 15. Początek tytułu dramatu niemieckiego pisarza Lessinga, (imię męskie). 16. Rodzaj powieści. 17. Tytuł poematu Słowackiego. 18. Nazwisko poety angielskiego. 19. Tytuł powieści Z. Sarneckiego.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. W. Demski, Krosno; prosimy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.

Rozwiązanie zagadek z Nru 29.

Logogryf.

Naczelnik Tadeusz Kościuszko.

Dobre rozwiązanie nadesłali Pp: H. Kowalski Mogiła, K. Fuchs Czeremchów, S. Spunda Skała, F. Kalita Gawłuszowice, M. Burdowicz Buczacz, J. Mann Lwów, M. Opolska Czarny Dunajec, M. Małaczyński Pikułowice, F. Niepokój Krosno, Tow, »Zgoda« Krosno, R. Mazurkiewicz Lwów, B. Ramułtowa Jeżów. J. Kierska Truskawiec, M. Arbesbauer Lwów, W. Demski Krakóo.

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy pół klg. pomadek o różnych smakach, z cukierni Piaseckiego w Krakowie.

Kącik humorystyczny.

Przed sądem.

Sędzia: Oskarżony tu jest pan X., że rzucił przez okno butelką na przechodzącego pana Y. i o mały włos byłby mu rozbił głowę.

Obrońca X.: Prześwietny Trybunale! Znając mojego klienta od małego dziecka, mogę stanowczo powiedzieć, że ten, który flaszką przez okno rzucił na oskarżyciela nie był mój klient, bo gdyby on był rzucił butelką, to byłby oskarżycielowi na pewno głowę rozbił. Z tych zatem powodów proszę o uwolnienie mego klienta...

Między przyjaciółkami.

Jak doskonale kolor tej sukni harmonizuje z twoimi włosami! Czy suknię dobierałaś do włosów, czy też przeciwnie: włosy do sukni?...

W sądzie.

(Autentyczne).

Maciek wezwany jest jako świadek do sądu na okoliczność, że Wojtek dał Kaśce w gębę.

— Niechże mi teraz świadek powie — odzywa się sędzia — jak to było?...

— Dalibóg, co nie widziołek! — zaprzysięga się Maciek — bo ja tam po sądach włócyć się nie lubie i zaroz obróciłek się plecami, jak ino Wojtek chcioł Kaśke w pysk wygarnąć!...